№ 16. Warszawa, dnia 9 (21) Kwietnia 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

(Dokończenie).

Zanim pomówimy *o rozumnych* środkach zachowania życia ludzkiego, a więc nietylko fizycznego, ale zarazem i możliwości duchowego rozwoju, wypada nam uprzednio powiedzieć słów kilka o *długowieczności* i *śmiertelności* ludzi w ogóle, a w szczególności w naszym kraju.

W styczniowym zeszycie czasopisma Ateneum z r. b. znajduje się zajmujący artykuł D-ra Szyszły „O długowieczności człowieka"; skorzystamy tu z niektórych danych tego artykułu.

Jaki jest normalny przeciąg życia ludzkiego? Jeszcze w zeszłym wieku słynny naturalista Buffon utrzymywał, że każde stworzenie żyje 7 razy tak długo, ile czasu potrzebuje dla dojścia do zupełnej dojrzałości. Buffon stosował tę zasadę wprawdzie tylko do zwierząt, a o człowieku utrzymywał, że budowa jego, pomimo pozornej wątłości najważniejszych organów i tkanek (jak np. płuca) tak jest wytrzymałą, że człowiek, gdyby sam sobie życia nie skracał, powinienby żyć najmniej 200 lat, ale to zdanie nie znajduje potwierdzenia. Pomijając bajeczne i przesadne wiadomości z podań o nadzwyczajnie długim wieku ludzi dawniejszych, wiarogodnemi są tylko niektóre przykłady ludzi żyjących po 150 do 180 lat i to jest najwyższy, wyjątkowy kres życia ludzkiego.

W ogóle zaś, dla ludzi normalnych, można przyjąć ową pierwszą metodę Buffona, wspólną ze zwierzętami, ponieważ człowiek dojrzewa fizycznie w 14 lub 15 latach, przeto długość jego życia powinna wynosić około 100 lat. Ponieważ słonie, wieloryby, niektóre ptaki (orły, kruki) i ryby (szczupaki, karpie) mogą żyć, o ile wiadomo, po lat kilkaset, przeto człowiek nie jest najdługowieczniejszym ze stworzeń. Ztąd jeszcze raz widać, że życie fizyczne nie musi być dobrem najwyższem, skoro natura upośledziła pod względem jego trwania istotę na ziemi najdoskonalszą; również szybsze dojrzewanie człowieka, w porównaniu z niektóremi z owych zwierząt długowiecznych, dowodzi że Opatrzność chce jak najprędzej uzdolnić człowieka do wszechstronnej duchowej działalności, nie znajdującej już przeszkód w niedojrzałości fizycznej. Od czasów pierwszych wiadomości historycznych, wiek ludzki nie zmienił się prawie: warunki życia i nizki stan oświaty ludów pierwotnych mało sprzyjały długowieczności, a choć mamy niektóre wiadomości o ludziach, którzy niegdyś późnego doszli wieku, to jednak brak nam dokładnej statystyki owych czasów, a zresztą jeżeli dziś ludzie sobie znacznie skracają życie, musiało tak samo być zawsze. I dziś więc jeszcze ludzie mogą żyć po sto lat i przy tem we wszystkich klimatach i bez względu na rasę lub narodowość, gdyż pod tymi względami nauka nie dostrzegła znacznych różnic. Najdokładniejsze dane z czasów najdawniejszych, poczynając od Grecyi, mamy o wieku ludzi uczonych, gdyż zawsze notowano skrzętnie, ile lat żył każdy z filozofów i mędrców. Otóż, zestawiwszy te cyfry z dzisiejszemi danemi w tym przedmiocie, przekonywamy się, że ludzie oddający się pracy umysłowej żyją najdłużej: nowy dowód że *działalność duchowa pomaga ciału*, jak to powyżej zaznaczyliśmy. Angielski statystyk Farr doszedł do wniosku, że średni przeciąg życia uczonych, tak dawnych jak i spółczesnych, wynosi od 63 do 65 lat, wówczas gdy przeciętna długość życia dla wszystkich w ogóle ludzi w rozmaitych krajach wynosi zaledwie od 28 do 41 lat. Te ostatnie cyfry, tak niekorzystne, wykazują jak długo *istotnie* żyją ludzie w naszych czasach, co w porównaniu z cyfrą ile *żyć mogą* (100 lat) wygląda zatrważająco. Zresztą, w tem obliczeniu wzięto na uwagę także i dzieci, z których do 5 lat wieku *prawie połowa* umiera; dla ludzi zaś, którzy już pewną ilość lat przeżyli, prawdopodobieństwo dłuższego życia jest nieco korzystniejsze, jak to wykazują osobne tego rodzaju tablice statystyczne. Tak, dla dzieci po 5 roku życia jest prawdopodobieństwo, że będą jeszcze żyły od 35 do 55 lat, młodzieńcy po latach 20 mogą żyć jeszcze od 33 do 44 lat; starcy 60-letni od 10 do 16 lat, a po 75 latach — już tylko od 4 do 8 lat. Ponieważ i uczeni, o których wspomniałem, nie byli uczonymi od kolebki, wypada więc podany wyżej średni ich wiek porównać z prawdopodobnym wiekiem młodzieńców 20-letnich, a i tak otrzymamy dla ludzi poświęcających się pracy umysłowej, ogromną przewyżkę 20 lat. W tablicach wieku ludzi podług zajęć i profesyi nie znajdujemy wprawdzie zupełnego potwierdzenia owej cyfry, podanej przez Farra, ale to się tem tłomaczy, że ludzie uczeni lub przeważnie oddający się pracy umysłowej nie stanowią jednej klasy, że bardzo trudno nawet utworzyć taką klasę, a w rubryce profesorów, nauczycieli i artystów (którzy żyją, podług Caspera od 57 do 58 lat) zawierają się niewszyscy uczeni i umysłowo pracujący, a z tych, którzy tu wchodzą, wielu oddaje się zajęciom fizycznym, jakiem po części jest już samo nauczanie. Podług zajęć, najkorzystniejszem jest powołanie duchowne: księża żyją najdłużej — średni ich wiek 65 lat; potem idą kupcy i rolnicy (od 61 do 62 lat), wojskowi (59 lat), wzmiankowani artyści i profesorowie (od 57 do 58 lat) i lekarze (56 lat). Dla innych powołań i zajęć brak dokładnych danych.

Jak powiedziano wyżej, różnica narodowości, a nawet klimatu i rasy, mało wpływa na długowieczność ludzi, a jednak cyfry przeciętnego wieku dla rozmaitych krajów Europy przedstawiają znaczne różnice: wówczas gdy średnia długość życia wynosi w Rosyi 29 lat, w Królestwie Polskiem 32, w Niemczech od 28 do 32, w Holandyi 34, we Francyi od 35 do 37, w Anglii i Skandynawii od 36 do 41.

Różnice te pochodzą bez wątpienia z różnicy trybu życia, oświaty i cywilizacyi.

W ogóle wszystkie przytoczone i tym podobne cyfry dalekiemi są od bezwzględnej pewności i dokładności, gdyż sposób ich wyprowadzania z konieczności musi być niedostatecznym i ułomnym. Tak np. cyfra przeciętnego wieku wyprowadza się tym sposobem: jeżeli w danej miejscowości zmarło np. w przeciągu roku 1000 osób, to sumuje się wiek wszystkich tych osób, pomiędzy któremi bywają i niemowlęta roku nie mające i dzieci kilkoletnie i starcy 80 i 100-letni, i ogólna suma tych lat np. 30,000 dzieli się przez 1,000 — otrzymana tym sposobem cyfra 30 uważa się za przeciętny wiek mieszkańców tej miejscowości. Jeżeli podobne obserwacye ciągną się przez długie lata, a otrzymane rezultaty porównywają się i z nich wyprowadza się znowu ostateczna cyfra przeciętna, ta ostatnia zyskuje na prawdopodobieństwie, ale i tak jeszcze trudno ręczyć za prawdziwość, jak i w ogóle za prawdziwość wniosków zdobytych drogą spostrzeżeń, to jest indukcyjną, bez wyraźnej pewności matematycznej, bez widocznej konieczności logicznej. W ogólności spostrzeżenia statystyczne zapisywane są dokładnie od lat niewielu i jest nadzieja, że kiedyś, po długich latach, dadzą nam wyniki bardziej zadawalniające. Wtedy też może otrzymamy wyższą cyfrę przeciętną wieku ludzkiego: i teraz już z każdym prawie rokiem ta cyfra podwyższa się, co może nie jest dowodem powiększania się długowieczności ludzkiej, jak sądzą niektórzy, tylko coraz to większego zbliżania się do prawdy, bardzo niedokładnie z dotychczasowych ułomnych spostrzeżeń wyprowadzanej. Bądź jak bądź, widzieliśmy, jak wszystkie owe cyfry są dalekiemi od przyjętej z wielkiem prawdopodobieństwem przyrodzonej długości życia ludzkiego (100 lat), a że zdarzają się jednak, choć jako wyjątki, przykłady życia nawet dłuższego, bo do 180 lat, widać więc, że natura nie sprzeciwia się długowieczności ludzkiej, choćby tylko do 100-letniego zakresu, a natomiast zyskuje na prawdopodobieństwie przypuszczenie, że to ludzie skracają życie sami sobie i bliźnim. Przysłuchując się dziejom ubiegłych stuleci i patrząc na to, co się codziennie przed oczami naszemi odbywa, istotnie trudno nie zgodzić się na słuszność tego przypuszczenia. Wielkie mrowisko ludzkie, nawet w krajach najbardziej cywilizowanych, nawet pod osłoną przepisów moralnych i praw, nie dopuszczających indywidualnej walki o byt na noże, przedstawia w gruncie rzeczy, widowisko ludzi spychających tysiącznemi sposobami siebie i innych do grobu. Wskutek wszechwładnie panującego we wszechświecie prawa przyczynowości, na mocy którego nic bez przyczyny nie bywa, niezmiernie trudno byłoby nawet oznaczyć, którzy ludzie umierają „śmiercią naturalną,“ a którzy — z winy własnej lub bliźnich; może nawet i nigdzie nie dopatrzylibyśmy się tej „śmierci naturalnej“ zawsze spowodowanej tą lub ową okolicznością, która wypłynęła z woli ludzkiej. Zastanawiając się nad związkiem rozmaitych przyczyn i skutków, moglibyśmy dojrzeć samobójstwo lub morderstwo i w takich wypadkach, w których prawo tych zbrodni nie widzi i nie ściga: toż np. niepotrzebne wyjście na ulicę człowieka, którego zabija spadająca cegła, jedna potrawa więcej na obiad, spóźnienie się o godzinę na wizytę, jedna polka lub mazur więcej, przywdzianie lżejszej sukni, niepotrzebne wezwanie kogoś do siebie, który zabija się na schodach, rozkaz mycia okien damy służącej, który staje się przyczyną jej spadnięcia, a mógłby być odłożony na później, przykre słówko w kłótni i tysiące drobniejszych jeszcze okoliczności prowadzą za sobą utratę życia ludzkiego. W te tak liczne i subtelne przyczyny, których działanie odkrywa się dopiero później, a więc których nieświadomością skutków na razie możemy się tłomaczyć, nie możemy tu wchodzić już i dla tego że to mogłoby nas doprowadzić do kwestyi o fatalizmie i jego stosunku do woli swobodnej, a także podsunąć tę myśl ponurą, choć może prawdziwą, że śród potoku życia istnienie jednostek jest rzeczą obojętną dla praw natury, a po części i dla ludzi. Musimy także pominąć inne widoczniejsze fatalności, jak wojny sprzątające tysiące ludzi w kwiecie wieku, jak epidemie i choroby, których wina po części spada na ludzi, wskutek ich niedbałego zachowania się, nieunikania czynności sprowadzających miazmata i t. d. Może te wielkie klęski są potrzebne w gospodarstwie przyrody, której wszystkich rachunków dojrzeć ani ocenić nie jesteśmy jeszcze w stanie i jest wątpliwem, czy kiedykolwiek zdołamy. Pomijając więc owe zbyt subtelne i te zbyt kolosalne, a jedne i drugie jednakowo nieuniknione od ludzi płynące przyczyny utraty ich życia, którym ani piszący te słowa podać środków zaradczych, ani czytelniczki takowych w wykonanie wprowadzić nie zdołają, umieścimy się, jak zwykle, w pośrodku, i o tem tylko pomówimy, co wpływom naszym jest przystępne i co powinniśmy i możemy zmodyfikować i ulepszyć, ażebyśmy nietyle co dotąd skracali sobie życie.

Podobnych modyfikacyi i ulepszeń potrzebujemy gwałtownie. Kraj nasz, ani pod względem klimatu i warunków przyrodzonych nie różniący się znacznie od innych krajów Europy środkowej, ani też nie przedstawiający nieprzezwyciężonych przeszkód do szczepienia cywilizacyi i zaprowadzenia rozumnego trybu życia, zajmuje, jak widzieliśmy niemal ostatnie miejsce pod względem długowieczności mieszkańców. Śmiertelność jest w nim także przerażająca, już to wskutek mnóstwa dzieci ginących z powodu niedozoru od ognia, chorób i t. d. zwłaszcza u ludu prostego, już to oczywiście wskutek zaniedbania wszystkich będących w naszej mocy warunków hygienicznych. Pod tym względem należy się nam smutne pierwszeństwo przed wszystkimi innymi krajami. Sto lat temu, na ziemiach dawnej Polski było około 15 milionów mieszkańców, w tej liczbie 1 milion żydów, obecnie, na tej samej przestrzeni, liczy się 28 milionów, z tych 3 miliony żydów: żydowska więc ludność, choć także zbytecznem zachowaniem warunków hygienicznych nie grzeszy, potroiła się w tym czasie, chrześciańska zaś nawet się nie podwoiła. Wojny, które nawiedzały kraj w przeciągu tego wieku, tak znacznej różnicy sprowadzić nie mogły; epidemie dotykały zarówno i ludność żydowską; widzimy więc z tego zestawienia, że musimy stać daleko niżej od żydów pod względem zachowania warunków hygienicznych. Warszawa jest miastem, w którem panuje największa śmiertelność w Europie: umiera tu 1 na 29 mieszkańców, to jest prawie 35 z 1,000 ludzi rocznie, wówczas gdy np. w Londynie, mającym obecnie przeszło 3 miliony mieszkańców, umiera zaledwie 1 na 41 to jest 24 z 1,000 mieszkańców. Brak kanalizacyi i dobrej wody do picia przyczynia się dużo do wzrostu śmiertelności; resztę zaś winy złożmy—mówiąc prawdę—na nasze niedbalstwo. Dużo u nas rozprawiają o „kwestyi żydowskiej,“ ale ta kwestya rozwiąże się a raczej ustali się sama przez się: podług obliczeń przytoczonych przez p. Jeleńskiego (Niemcy, Żydzi i My str. 56, 57) za lat sto w Królestwie Polskiem żydzi, wskutek szybszego przyrostu ludności, stanowić będą połowę ogólnej liczby mieszkańców, a za lat dwieście—większość: kraj nasz zostanie żydowskim i mniejszość będzie musiała stosować się do większości. Wtedy może żydzi podniosą „kwestye chrześciańską,“ aż wreszcie ludność chrześciańska może całkiem zniknie, przeważnie z własnej winy.

Zobaczmy więc w krótkości, co możemy i powinniśmy uczynić dla ochrony własnego życia, a zatem dla podniesienia cyfry długowieczności, zmniejszenia śmiertelności i tym sposobem dla zachowania krajowi plemiennej przewagi miejscowego żywiołu. W ramach niniejszego artykułu nie możemy zawrzeć wyczerpujących skazówek hygienicznych i dyetetycznych, gdyż to wypełniłoby całą książkę; wskażemy więc tylko na te punkta, które u nas szczególniej są zaniedbane, zachęcając czytelników do nabycia pod tym względem najdokładniejszych wiadomości i do postępowania według tych nabytych skazówek. Będzie to zadaniem następnego artykułu.

MIŁOSIERDZIE.

przez

Ludwika Niemojowskiego.

Wiersz wypowiedziany dnia 15 Kwietnia w Teatrze Wielkim w czasie przedstawienia na korzyść „Przytuliska“.

Ledwie świt pierwszym brzaskiem zbarwił błękit nieba
On stawał przy warsztacie silny, niestrudzony,
By zdobyć w pocie czoła kęs twardego chleba
Całodzienny posiłek dla dziatek, dla żony.
Raz, było to wieczorem, on pracował jeszcze
Zgięty pod trudów dziennych zdwojonem brzemieniem,
Wtem w dłoni nieszczęsnego żelazo złowieszcze
Pękło, i krew mu z rany buchnęła strumieniem.

Spojrzał okropnym wzrokiem, a na twarz wybladłą
Łez dwoje, w dwóch kropelkach powoli upadło.

Mąż czynu, Tytan pracy, zapłakał jak dziecko,
Czyż z bólu? nie — w proch starty zgadł przyszłość złowrogą,
Przeczuł, że stal co dłoń mu raniła zdradziecko
Wprowadzi głód i nędzę pod strzechę ubogą.
Instynktem Ojca słyszał jak tej rany wargi
Rozwarte tak szkaradnie, szeptały półgłosem
Jakieś słowa rozpaczy, jakieś jęki, skargi,
Niby żale nad strasznym drogich dziatek losem;

I widział zbezwładniony w tej chwili ofiarnej,
Na sinej twarzy żony pomrok śmierci czarny.

Przyszedł głód — o Wy w zbytkach świata wypieszczeni,
Wy nie wiecie czem głód jest! Wam, losu wybrańce
Ziemia tysiące skarbów życiodawczych pleni,
I okala róż wieńcem dróg doczesnych krańce,
Lecz jest coś straszniejszego nad głodu męczarnie,
Nad zwierzęcą chuć człeka co posiłku łaknie;
To coś, to głos rozpaczy dziatwy gdy się garnie
W pierś Ojca krzycząc „chleba!“... a chleba zabraknie...

On nic nie czuł, choć głód mu sił strawił ostatek,
On słyszał tylko jęki konających dziatek!

W tej chwili błysł wśród mroków promień zbawczej łaski,
W progach izby stanęła możnowładna pani:
Nie z tych dam które tłumów chcą posiąść oklaski,
Lecz anioł co prócz złota serce niesie w dani.
Z jej wejściem, na poddasze spłynął pokój święty,
I lśnił tam niby eter przejrzysty, niebieski;
Z jej wyjściem ból się w urok przemienił ponęty,
Zmilkł jęk — a pod uśmiechem zaschły dziatek łezki.

Wszystko kwitło promiennym miłosierdzia cudem,
Gdyż Bóg, ów Bóg dobroci — czuwa nad swym ludem!

PAN MICHAŁ

POZYTYWISTA WARSZAWSKI.

Studyum z natury Ignacego Pstrokońskiego.

(Dalszy ciąg).

— I cóż chce ten przyjaciel? zapytała Marynia siadając.

— Jestem cały jak roztargany, mówił dalej Michał. W głowie zamęt, w całej istocie jakiś smutek, niezadowolenie. Pragnę ale sam nie wiem czego, tęsknię ale sam nie wiem za czem. Szukam sposobów wybrnięcia z tej męki i nie mogę ich znaleźć. Gdybyś pani położenie moje chciała rozważyć i udzielić radę...

— Bardzo chętnie, ale jako zbyt młoda, sama z siebie wydobyć jej nie mogąc, powtórzę tu tę co w podobnym wypadku innym poradzono. Tylko...

— I cóż dalej panno Maryanno?

— Tylko zamawiam sobie, abyś radzie mojej nie nadawał jakiego innego znaczenia, tylko uważał ją jedynie za dowód mej życzliwości.

— Przyrzekam, przyrzekam, mów tylko pani.

— Otóż zakochaj się pan i ożeń.

— Gdybym znalazł drugą taką jak pani, odezwał się Michał zapominając o wszelkich rozumowaniach i postanowieniach, zrobiłbym to natychmiast.

— A jakby cię nie chciała?

— Czyżby to być mogło?

— Przypuszczenie bardzo prawdopodobne...

— Ale nie w tym wypadku, odrzekł Michał z pewnością siebie. Nie jestem ani ślepy, ani głuchy, ani poczwarą żadną, mam przytem własne mienie, głowę na karku, to dlaczegóżby panna podobna pani miała mnie odrzucić.

— Hm! mruknęła nieznacznie Marynia, a dla czegóż znów nie miałaby tego zrobić? Czyż to panny są towarem, który choćby za bezcen musi być przedany? Nie znajdzie się kupiec, to trudno...

— Hm! mruknął Michał, na wszystko masz pani odpowiedź, jeżeli jednak nie obrazisz się, to zrobię zapytanie. Wszakże przyrzekliśmy sobie szczerość, czyż zatem...

— I jakież to zapytanie? zapytała Marynia widząc że Michał nagle przerwał.

— Troszkę będzie drażliwe... troszkę może zbyt śmiałe... ale polegam na dobroci pani, że mi je raczysz przebaczyć.

— Powiedz je, słucham.

— Otóż, odezwał się Michał z pewną nieśmiałością, nawet cokolwiek drżącym głosem: gdyby tą wybraną przeze mnie była... pani, gdybym...

— Ależ panie, przerwała Marynia oburzona, przekraczasz granice wszelkiej względności.

— Odpowiedz pani na zrobione zapytanie, błagam cię, a później usprawiedliwię się, zawołał Michał rozgorączkowany. Powiedz, gdybyś tą wybraną była ty panno Maryanno, gdybym z błaganiem wyciągnął rękę po twoje serce i rękę...

Marynia podniosła ramion i spojrzała na niego zdziwiona.

Michał nagle umilkł i po chwili zapytał trwożnie:

— I cóż dobra panno Maryanno, jakaż byłaby twoja odpowiedź?

— Bardzo krótka, odrzekła po chwili Marynia. Podziękowałabym za dobre chęci, ale serce i rękę pozostawiłabym przy sobie.

— A to z jakiego powodu?

— Z bardzo naturalnego. Za mąż nie mogłabym wyjść bez prawdziwego przywiązania, zarówno we mnie obudzonego jak i w tym coby mnie chciał obdarzyć swoim wyborem.

— Czyż prośba moja nie jest najlepszym dowodem, że warunek ten co do mojej przynajmniej osoby jest spełniony?

Marynia zamyśliła się i po chwili odrzekła:

— Stawiasz mnie pan w przykrem położeniu. Na zapytanie zrobione, odpowiedź chciałabym udzielić jak najbardziej stanowczą, a ta nie zawsze może być taką...

— Mów pani a wszystko przyjmę chętnie, mów panno Maryanno.

— Powiem więc, kiedy tego domagasz się. Otóż mówiąc otwarcie to prośba pańska daje powód zupełnie przeciwny twierdzeniu jego i według mego słabego pojęcia, przekonywa tylko, że jest wybrykiem chwilowego szału a nie prawdziwego przywiązania. Gdybym przypuszczam przyjęła pańskie oświadczenie, w godzinę później żałowałbyś swego postanowienia, a jeżeli nie w godzinę, to żal ten prędzej później objawiłby się, jestem tego najpewniejszą. Jakaż więc byłaby nasza przyszłość? Czyż wyrobiwszy sobie tę pewność żalu w tobie panie Michale, mogłabym narażać się na zawód, któryby mnie zrobił nieszczęśliwą?

— Ach! panno Maryanno, nie przypuszczałem nigdy abyś mnie uważała za tak lekkomyślnego. Cóż mogło skłonić mnie do oświadczenia się pani jeżeli nie prawdziwe przywiązanie.

— Tak, w tej chwili, ale jutro, ale za rok...

— Zkądże takie przypuszczenie, czyż...

— Żeby raz skończyć z pańskiem powątpiewaniem co do szczerości mojej odpowiedzi, i nie obudzić podejrzenia dla mnie nie bardzo pochlebnego, powiem ci panie Michale z całą otwartością, że był czas w którym sądziłam, że jesteś właśnie tym wybranym, przeznaczonym mi przez Opatrzność za ślubnego towarzysza mego życia...

— A dziś panno Maryanno, a dziś?

— Nie przerywaj, odparła dziewica z powagą i stanowczością. Powstające jednak w sercu mojem uczucie, trzymałam na wodzy, bo nie byłam pewną czy równy oddźwięk znajdę w twojem sercu. Czekałam, starania twoje panie Michale nie ustawały, byłam pewną że lada chwila przemówisz słowami jakie mi dziś ofiarowałeś, serce jednak swoje strzegłam pilnie, nie pozwalałam mu zbytniej poddawać się nadziei, zwłaszcza że w rozprawach twoich panie Michale, jakie tak często z sobą prowadziliśmy, przebijał się jakiś fałszywy ton trudny do ujęcia a jednak wywołujący przykre wrażenie. Lubiłam cię, miałam dla ciebie przyjacielskie uczucie bardzo zbliżone do miłości, ale dzięki mej ogledności, nie była to miłość jeszcze. Pomału zacząłeś pan być coraz rzadszym gościem w domu naszym, wreszcie przestałeś bywać zupełnie. Nie zdziwiłam się tej zmianie, nie powzięłam ku tobie panie Michale najmniejszej niechęci, powiedziałam tylko sobie: zdawało mi się, jakże to dobrze że byłam tak przezorną. Gdyby mnie kochał, mając dowody moich dobrych dla siebie chęci, byłby się oświadczył, gdy nie zrobił tego, widać że mnie nie kocha, a lękając się aby nieposażnej dziewczynie nie rozmarzyć głowy, delikatnie wycofał się ze stosunków, którym mogłabym nadać fałszywe znaczenie. I czy uwierzysz panie Michale, że powzięłam dla ciebie za tę ogledność szacunek. Doświadczony zawód sprawił mi pewną przykrość, ale nie wywołał cierpienia jakiemu tak łatwo ulegają inne panny mniej baczne w rozwoju swych uczuć i nadziei. Przykrość ta prędko przeminęła, dziś uważam pana jak każdego dobrego znajomego, jakże więc mogę uwierzyć, że prośba pańska z prawdziwego wypływa do mnie przywiązania? Kto go rozbudzić nie mógł w częstszych ze mną stosunkach, czego najlepszy dał dowód zerwaniem ich, jakże może po długiem rozłączeniu, w spotkaniu przypadkowem, odwoływać się do uczucia tak świętego, które nie powstaje w jednej chwili, jeśli ma być trwałem i niewzruszonem.

— Jest jednak takiem, szepnął Michał.

— Nie panie Michale, zdaje ci się tylko. Jest to jakiś chwilowy kaprys, coś niewytłomaczonego, ale nie prawdziwe przywiązanie.

— Panno Maryanno, odezwał się Michał po chwilce namysłu. Dowodzeń twoich tak zacnie i rozumnie mi przedstawionych, wysłuchałem z cierpliwością, posłuchaj więc z równą cierpliwością i mego usprawiedliwienia. Będą one tak szczere jak twoje pani słowa zaszczyt przynoszące twemu rozsądkowi. Tak jak dziś cię kocham panno Maryanno, tak kochałem i wtenczas kiedy się cieszyłem twojem towarzystwem i rozmową. Nie przeczę, że oznaki przychylności jakie od ciebie odbierałem, brałem za żywsze uczucie jak przyjaźń. Cieszyłem się niemi, nawet zachwycałem, serce przepełniałem uczuciem, które mnie uszczęśliwiało i kiedy miałem z niem wystąpić jawnie, przyszła rozwaga...

— Czy pan wykryłeś we mnie jakie wady na szczęście dość wczas postrzeżone?

— Nie, dobra pani, byłaś zawsze w moich oczach jak i dziś bez żadnej skazy. Twój rozsądek, twoja skromność, wdzięk tak ujmujący...

— I tam dalej, i tam dalej, pomińmy to, przerwała Marynia, a przystąp pan do owej rozwagi, przedmiotu tak w każdym pożądanego.

— Radbym, ale nie śmiem powtórzyć słowa, które mi owa rozwaga podyktowała.

— Śmiało panie Michale, wszak jesteśmy zawsze przyjaciołmi.

— Lękam się aby otwartość moja nie rzuciła zbyt rażącego cienia na moją wartość moralną...

— Ach! to już się domyślam, co ta rozwaga panu szepnęła, przerwała Marynia z uśmiechem szczerej wesołości. Oto powiedziała panu żem nieposażna, a żona taka to ciężar. Być może że tak jest, ale z wady tej żadnym sposobem poprawić się nie mogę. Cóż robić, nie moja w tem wina, ani moich kochanych rodziców.

— Domysł pani jest prawdziwy, szeptom rozwagi uległem, odrzekł Michał z pewną nieśmiałością, dziś poznałem dopiero jak były płonne i bezzasadne. Żałuję tego i z tym żalem wyciągam znowu rękę do pani z prośbą najserdeczniejszą o jej przyjęcie. Przyjmij ją pani a przez całe życie...

— Nie panie Michale, odrzekła Marynia składając ręce, nie łudź się daremnie. Nie kochając nie mogłabym zostać żoną największego nawet w świecie bogacza, ukochać zaś mogłabym tylko tego, o którego przywiązaniu do siebie najzupełniej byłabym przekonaną.

— Czyż pani możesz nie wierzyć mojej dla siebie miłości? Przecież nic innego tylko jedynie osoba pani zniewoliła do złożenia prośby u nóg jej do których radbym i usta moje przytulić?

— A cóż na to mówi owa rozwaga, co to szeptem swoim...

— Nie mówmy już o tem...

— Owszem, przeciwnie...

— Było to złe obliczenie się z samym sobą, chwilowy obłęd...

— A któż zaręczy, że znów kiedyś nie powróci? Do wszelkiego rodzaju chorób, według uznania lekarzy, człowiek po pierwszym ich objawie nabiera skłonności, więc obłęd ten, jak go pan nazywasz, może się ponowić na nieszczęście po niewczasie, cóżby więc wtenczas stało się z panem, pewnym szczęścia w związku małżeńskim, i ze mną pragnącej jedynie miłości tego któregobym sercem wybrała?

— Cóż za przypuszczenie dziwne...

— Bardzo jednak prawdopodobne...

— Lepiej pani przyznaj, że masz wstręt do mnie...

— Nie panie Michale, szanuję nawet pana, jako człowieka rozsądnego, porządnego, ale to nie dość dla kobiety szukającej prawdziwej miłości.

— Czekać będę dopóki pani każesz, byleś pozwoliła cieszyć się nadzieją, a może zdołam obudzić uczucie...

— To na nic się nie zdało panie Michale. Nie jedna możeby przyjęła tę wielką z pańskiej strony ofiarę, ale ja, wybacz, muszę ją odrzucić. Aby ukochać człowieka całą pełnią swego serca, muszę wierzyć bezwarunkowo w jego dla siebie miłość. Tej wiary nie obudzisz pan we mnie nigdy, nie mogąc zaś pana ukochać, nie mogłabym i żoną jego zostać, czekanie zatem na nic się nie zda.

— Jesteś pani jak widzę troszkę egzaltowaną. Szukasz miłości w warunkach tak niezwykłych, że nawet wątpię abyś ją kiedy znalazła...

— Ha! to nie pójdę za mąż. Starego panieństwa nie pragnę, bo to stan dla kobiety bardzo przykry, ależ wolę jego swobodę choć kwasami otoczoną, jak małżeństwo z którego wyfrunęła miłość jak ptaszę z gniazda.

— Streszczając zatem naszą rozmowę, odezwał się Michał prostując się i gładząc kapelusz, łaskawych względów pani nie uzyskam.

Marynia nic nie odpowiedziała, Michał mówił dalej:

— Nie tracę nadziei, pani się namyśli, rozważy...

— Jakto, i pan ożeniłbyś się z osobą, która tylko z namysłu i rozwagi postanowiłaby oddać mu swoją rękę?

— A dla czegóż nie? Namysł i rozwaga każdą czynność ludzką poprzedzać powinny.

— Tak, ale nie powstanie prawdziwej miłości. Jest to uczucie tak bezwiednie powstające w sercu, że nawet początku jego oznaczyć nie można. Osoby ożywione niem zdają się być dawno sobie znanemi, tylko rozdzieleni przestrzenią widzą się zdala, zbliżają ku sobie, rozpoznają lepiej, wreszcie ujmują się za ręce i mówią do siebie: mój jedyny, moja ukochana! Rozwaga, namysł żadnej tu nie odgrywa roli, kochają się, to dość dla nich, a gdy chcą się na wieki połączyć, wtenczas rzeczywistość przywołują do życia i urządzają warunki bytu ziemskiego według danych już posiadanych. Wiem że inni tak nie robią, że warunki owego ziemskiego bytu układają naprzód i uważając je za niewzruszone, według nich zawiązują dopiero związki małżeńskie. Ja taką nie jestem i szukam najprzód tego, czego nie kupi za żadne skarby świata, a potem kawałka chleba powszedniego, który niekoniecznie musi być tak wielkim jak tylne koło u wozu, aby nasycił i nigdy nie pozwolił być głodnym.

— Dowodzenie prześliczne, odezwał się Michał spoglądając z uśmiechem na Marynię, i tak silne że mimowoli robi przypuszczenie, że ułożone zostało z doświadczenia.

— Być może!

— Więc zgadłem! I któż jest ten szczęśliwy, co potrafił urzeczywistnić pani marzenie?

— Dowiesz się pan z czasem.

— Aha! rozumiem, więc to pan Stanisław...

Marynia lekko zapłonęła, Michał spostrzegł to i równie zmieszał się. Był bowiem dotąd pewny, że panienka zupełnie uboga, jeżeli droży się w przyjęciu jego oświadczenia, używa tylko zwykłego fortelu kobiecej kokieteryi, aby lepiej przynęcić i silniej przywiązać. Gdy zatem spostrzegł że się omylił, że ktoś inny naprawdę zajął to serce którego tak dziś zapragnął, uczuł żal a nawet boleść po straconej zupełnie nadziei. Zrobiwszy przypuszczenie co do Stanisława, wpatrzył się w Marynię, panienka nic nie odpowiedziała.

— Hm! mruknął po chwili Michał. Nie mam przyjemności znania przez panią wybranego, ale domyślam się że uposażenie musi mieć niewielkie, zaledwie trzy albo cztery tysiące najwyżej rocznej pensyi wynoszące. To mało, to bardzo mało jak na dzisiejszą drożyznę, a cóż dopiero mówić o przyszłości gdy się obowiązki zwiększą.

Marynia ciągle milczała, Michał mówił dalej:

— Jako prawdziwy przyjaciel pani czuję się niejako w obowiązku zwrócenia uwagi, że chleb powszedni nie wytworny ale dostatni zaspakajający konieczne potrzeby, jest warunkiem niezbędnym ludzkiej pomyślności. Gdy brak go, gdy każdy dzień, każda godzina przynosi troskę, zkąd wziąść na to bez czego obejść się niemożna, życie staje się tak piołunowem, że wszystko w niem gorzknie, nawet słodycz najwyższej ziemskiej szczęśliwości. Słowa te weź pani pod rozwagę, uznasz je może za zbyt realne, ale nie jesteśmy samemi duchami, aby ideał miał nas tylko zadawalniać. Równowaga jest tu konieczną i tylko te czynności są dobre i dobre sprowadzają następstwa, które są z nią w zgodzie. Pani widocznie wzgląd ten pomija, a to źle, to bardzo niedobrze...

— Mylisz się pan, przerwała Marynia, nie jestem tak egzaltowaną jak mnie nazywasz, abym nie wiedziała że przy głodzie i chłodzie człowiek cierpi i staje się niemal zwierzęciem. We wszystkiem jest granica, której dopiero przekroczenie naraża na smutne następstwa. Unikać tego głównem powinno być zadaniem każdego, idzie tylko o rozumne oznaczenie tej granicy, której linia, według pojęć osobistych i pragnień, dla każdego w innym punkcie wypada. Co do mnie, widzę ją jasno, nakreśliło ją postanowienie ograniczenia się do minimum potrzeb. Już nasz wieszcz kochany powiedział z tak wielką prawdą:

> Ten pan zdaniem mojem,
> Co przestał na swojem.

Nie gardzę zamożnością ani bogactwem, przyjęłabym nawet chętnie gdyby mi je ofiarowano, ale dla ich zdobyczy kosztem mego uczucia, nigdybym się nie odważyła. Nic nie wymagać czego mieć nie mogę, nic nie żądać bez czego obejść się można, oto zasada mego życia, która przy oszczędności i dobrym zarządzie jestem pewna, że tak mnie jak każdego uszczęśliwić może. Jest to zasada już wypróbowana, mogę więc wierzyć w jej skuteczność bez obawy zawodu. Dlatego ubranie na mnie zawsze jest skromne, nie mam żadnych na sobie kosztowności, nie znam jedwabnych materyi ani drogocennych futer; w domu rodziców moich nie ma żadnych przyjęć ani festynów, chodzimy zawsze piechotą, na widowiskach publicznych bywamy rzadko i to na najtańszych miejscach, igłą i nitką przedłużamy o ile można trwanie naszych przyborów garderobianych, stół nasz bardzo skromny, gdyż jadamy dla zaspojenia głodu a nie dla przyjemności, w domu spełniamy wszystkie posługi wewnętrzne, gotujemy, pierzemy, prasujemy, zamiatamy, chodzimy z koszykiem do miasta, bo na utrzymanie sługi nie stać nas i obchodzimy się posługą raz na dzień przychodzącej najemnicy. Otóż takie jest życie nasze i czy sądzisz panie Michale że nie jesteśmy szczęśliwi?

— Zapewne... nie wątpię, i...

— Potwierdziłbyś jeszcze silniej gdybyś się mógł przypatrzeć bliżej naszemu życiu, gdybyś mógł usłyszeć, jak wieczorami siedząc przy jednym stoliku, ojciec mój w wyłatanym dobrze szlafroku czyta, a ja z matką w wypłowiałych sukienkach zajmujemy się robotą. W otoczeniu prostota największa a nawet ubóstwo. Nie ma machoniów ani kosztownych obrazów, zastępują je proste jesionowe sprzęty i obrazki na kanwie oprawne w ramki. Wyszyła je niegdyś włóczką ręka mojej matki i moja, są też dobrze przykurzone i wypłowiałe, mebelki zaś sprawił ojciec gdy dom urządzał na matki przyjęcie. Wartość tego wszystkiego dziś i kilkuset złotych nie wyniesie, a jednak nie wzięlibyśmy za nie w zamian najparadniejszego kompletu umeblowania ani obrazów choćby ręki najpierwszych mistrzów. Tę wielką cenę jaką naszej biedocie nadajemy, są pamiątki do nich przywiązane. Przy nich wzrosłam i dojrzałam, przy nich żyję szczęśliwa, ciesząc się spokojem jaki nas otacza i szczęściem ojca kochanego, zawsze wesołego, uśmiechniętego, pełnego życia i dowcipu, którym nas wszystkich uszczęśliwia. Jak zaś przyjdą do nas wieczorem lub w święto bracia moi z fabryki, to już radości wspólnej nie ma końca i to tak szczerej że jej nic zastąpić nie może. Nieraz porównywając inne rodziny, w pomyślniejszych niż my zostające warunkach, z nami dość skromnym obdarzonymi bytem i patrząc na ich domowe kwasy, wzdychania, stękania, zapytywałam nieraz sama siebie, jaki może być powód tak różnych następstw w warunkach tak znacznie pomyślniejszych. I poznałam z wielką swoją radością, że nas uszczęśliwia miłość zobopólna i zadowolenie z tego co posiadamy, a ich gnębi właśnie brak tych dwóch wielkich skarbów. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że rodzice moi choć już niemłodzi, a kochają się tak jakby dopiero dziś odeszli od ołtarza. Ojciec jest zawsze nadsługującym, nadskakującym matce, gotowym w każdej chwili do ustępstw, nią tylko zajęty, jej wyłącznie oddany. Matka w tych dowodach miłości nie da się ojcu przewyższyć, i w oczach obojga taka się zawsze maluje miłość i szacunek, tak bezwarunkowe poświęcenie, taki zachwyt i radość, że patrząc na nich i ja czuję się szczęśliwą. Otóż mając taki przykład w domu, postanowiłam podobne szczęście zdobyć dla siebie i wyjść za mąż jedynie z prawdziwej miłości, której poznałam potęgę: uposażenie mego przyszłego narzeczonego nic mnie nie obchodzi. Będzie ono małe, przyjmę je bez wahania i zastosuję się odpowiednio; będzie znacznie większe, przyjmę także bez wyboru, do niego się zastosuję, choćby przyszły starający się o moją rękę sto razy miał większe mienie, niż to które posiadasz panie Michale. Na zakończenie zaś mojej przydługiej a może i przynudnej tyrady, muszę jeszcze dodać, że te pojęcia moje mimo poetycznego w nich nastroju, są wyrosłe z jak najczystszego realizmu, którym się i ty rządziłeś panie Michale, z tą tylko różnicą że ty źle a ja dobrze rachuję...

Michał uśmiechnął się i coś mruknął, Marynia nie dała mu mówić i sama mówiła dalej:

— Tak panie Michale, nie umiesz dobrze rachować, bo przeceniasz pożytki z bogactwa. Człowiek może się wszystkiem przesycić, jedno tylko prawdziwe uczucie, na zawsze pozostaje pięknem, nieskalanem i uszczęśliwiającem. Rodzice moi najlepszym tego przykładem, ja pragnę zostać drugim i być przykładem dla innych. Przyznasz że to pragnienie godne pochwały.

(d. c. n.)

DRAMAT NA MORZU.

Osnuty na tle angielskiej powieści Oliviera Madox-Brovn p. n. „Czarny Łabędź.“

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Pokój do którego weszli przedstawiał ślady świeżo stoczonej walki. Na podłodze leżał mężczyzna związany, z zakneblowaneni ustami — był to ojciec tej dziewczynki; gdy uwolniony z więzów przyszedł nieco do siebie, opowiedział swoim oswobodzicielom że dwóch owych zbiegłych za ich przybyciem złoczyńców, już od kilku dni włóczyli się po okolicy i korzystając z jego osłabienia po przebytej ciężkiej chorobie, postanowili zamordować go i okraść. Dziewczę wracając nad wieczorem do domu, spostrzegło ich zdaleka wchodzących do sieni i przerażone grożącem ojcu niebezpieczeństwem, odwiązała linę przytrzymującą łódź przy brzegu i udało jej się szczęśliwie dopłynąć do sąsiedniej wysepki z której dochodził ją odgłos rozmowy.

— Jakże się nazywasz, mała bohaterko? zapytał Danvers, bawiąc się jej długiemi rozpuszczonemi włosami.

— Laura Convay, odrzekła. A pan?

— Gabryel Danvers.

Ośm lat minęło od owego czasu. Danvers nie był nigdy potem na wyspie Paramatta i z całej tej nocnej przygody zachował tylko blade wspomnienie długich jasno-blond włosów, maleńkiej delikatnej rączki i nazwisko małej dziewczynki: Laura Convay.

Danvers przepędził noc w Hobart-Town, gdzie nazajutrz rano miał jeszcze kilka interesów do załatwienia; ukończywszy je machinalnie poszedł na wybrzeże i zaczął wpatrywać się w fregatę.

Kołysała się na kotwicy a flaga jej połyskiwała od promieni słonecznych. Danvers przyglądający jej się okiem znawcy, widział że jest niekształtna i źle zbudowana; przód za nadto był wyniesiony; ostroga, zbyt przedłużona masztem, za nadto wystawała nad wodą a spłaszczony przód statku dowodził że bieg jego nie mógł być bardzo szybki. Cztery okna umieszczone w kątach oświetlały boki, dziwną nadając postać tyłowi okrętu. Wypisana na rudlu wielkiemi czerwonemi literami nazwa okrętu uwydatniała jednostajność innych części fregaty. Byłto wielki trzy-masztowy statek hiszpański, którego powierzchowność cała zdradzała długie lata służby.

Danvers wskoczył do jednej ze stojących przy wybrzeżu szalup i popłynął w kierunku fregaty. Na pomoście znajdowało się tylko kilku majtków wypoczywających pod cieniem wielkich rond swoich kapeluszy. Był to właśnie najgoretszy peryod australijskiego lata; trudno byłoby wytrzymać duszący skwar, gdyby nie powiewy słonego powietrza, orzeźwione przenikającą wonią kwitnących drzew cytrynowych i magnolii. Danvers wsparł się na wiośle, zatapiając wzrok w otaczających go przestrzeniach.

Powiódł okiem po niezmierzonem morzu; może myślał o nieznanych czekających go na niem niebezpieczeństwach, może o swej dawnej, obcej mu dotąd ojczyźnie, do której fale te ponieść go miały.

Powoli, stopniowo, spojrzenia jego coraz mniejsze ogarniały krańce, aż nareszcie zwróciły się ku wybrzeżom. Spojrzał na roztaczający się przed nim widok miasta; na jego nieregularne domy, ceglane lub łupkowe dachy, na mury lśniąco białe lub różnobarwnie upstrzone co dziwnie rażącą sprzeczność a niekiedy znowu harmonijną tworzyły całość. Tu i owdzie wyłaniały się z poza domów korony drzew najróżnorodniejszej zieleni, gdzie niegdzie widać było zamorskie krzewiny, zasadzone tu widać przez przybywających kolonistów. W niektórych dzielnicach, obok pięknych budowli angielskich, sterczały jeszcze stare, nędzne chaty krajowców — na każdym kroku biła w oczy śmiała i malownicza mieszanina cywilizacyi i barbarzyństwa, wszędzie widoczny był ślad usiłowań i podbojów dokonywanych przez człowieka.

Zaledwie dziesięć lat upłynęło jak miasto to wyłoniło się jakby cudem z głębi dzikiej i bezludnej ziemi; Danvers przypominał sobie iż patrzył na budowę pierwszego domu, a dziś już stoi ich tyle że dym z kominów zaciemnia przestrzeń. W oddali zatoka zaginała się w różne zakręty; spienione fale rozbijały się o urwiste wybrzeża: bukiety drzew rozsianych na pochylonym gruncie miejscami dosięgały aż morskich wybrzeży, a niektóre kąpały w jego wodach swe zielonemi pnączami pokryte stopy.

Danvers czuł że jakieś niepojęte wzruszenie rozsadza pierś jego i łzami powieki — cóż tak oddziaływało na niego? Czy malowniczość obrazu? czy rozstrajająca wspaniałość ciszy? czy jakiś żal nieokreślony że opuszcza te rodzinne niemal strony?... O nie! było to całkiem odmienne uczucie. W duszy jego zbudził się jakiś niewysłowiony ale silny i głęboki żal: że do tej ziemi w której spędził najpiękniejszy wiek młodzieńczy, która żywiła go lat tyle, nie wiąże go żadne wspomnienie, żaden silniejszy węzeł. Żadne drogie sercu uczucie — a jednocześnie po raz pierwszy w życiu uczuł w sobie jakąś nieprzepartą moc i potrzebę ukochania czegoś, przelania na kogoś nieprzebranych skarbów uczuć nagromadzonych w jego łonie.

W tejże chwili doleciał go z fregaty słodki i melodyjny śpiew kobiecy przygłuszany szmerem fali; zerwał się na nogi, podniósł oczy i zachwycony stanął jak przykuty.

W jednem z okien pomostu ukazała się młoda dziewczyna; stała z założonemi na piersiach rękami, oczy jej utkwiły gdzieś w oddalonej przestrzeni. W twarzy jej rozlany był rzewny, za serce chwytający smutek, łagodne światło jaśniało w błękitnych oczach; lekki wietrzyk unosił długie zwoje jej ciemno-złocistych włosów, spadających na białe, jakby utoczone ramiona.

Danvers wypuścił wiosło z ręki; odgłos ich upadku zwrócił uwagę dziewicy, odwróciła głowę a spostrzegłszy palące wlepione w nią spojrzenie, prędko odeszła od okna. Danvers stał nieruchomy, z wzrokiem utkwionym w puste okno, które wydało mu się ramą czarodziejskiego jakiegoś, zbyt prędko zniknego obrazu. Po kilku chwilach ukazała się w oknie twarz stara i pomarszczona, a potem zasłonięto firanki. Ta druga postać rozproszyła urok, machinalnie ujął wiosło i zwolna opłynął fregatę.

Jak sen zbyt żywe przedstawiający nam obrazy, powoduje często przebudzenie, tak i Gabryel uczuł że to zjawisko wstrząsało całą jego istotę i zbudziło ją z uśpienia — lecz do jakiego życia?... na to odpowiedziećby nie umiał. Zaledwie mógł uszykować w myśli szereg okoliczności jakie go tu przywiodły, jego znalezienie się o tej porze naprzeciw okien fregaty i pojawienie się zachwycającego zjawiska którego rysy zaledwie mógł odtworzyć sobie: oczy niebieskie z anielskim wyrazem, złote włosy rozrucone po odkrytych ramionach, prześliczne jakby utoczone ręce obnażone do łokcia, dalej spuszczona czerwona firanka unoszona lekko powiewem wiatru, potem cisza i już nic. Tak prędkie pojawienie się i zniknięcie całego obrazu, zwiększało chaotyczny nieład jego myśli.

Cóż się stać mogło że w jednej chwili, w jednej sekundzie w całej jego istocie tak wielka zaszła zmiana? Zkąd to wzruszenie, ta coraz silniej ogarniająca go gorączka? Jakieżto czary takiej użyczyły władzy oczom tej zaledwie spostrzeżonej dziewicy. Jakaż tajemnicza siła przykuwała go do tej fregaty której wadliwą budowę dobrze widział przed chwilą, a teraz wydawała mu się jakimś zaczarowanym pałacem, pełnym niebiańskich rozkoszy, w którym przebywała cudna czarodziejka, Laura! Laura Convay!... gdyż niezawodnie była to ona. Laura! Laura! tak zmieniona a jednak ta sama, jak pączek zamieniony w kwiat.

Żaden akt woli ani rozumowania nie kierował wspomnieniami cisnącemi się tłumnie do głowy Gabryela; wielka, bezgraniczna miłość budząca się w jego duszy powstawała zupełnie bezwiednie. Zarówno jak niemógłby powstrzymać przypływu morza, tak nie był w stanie oprzeć się jej wszechpotężnej sile; ta namiętność przemieniająca w jednej chwili całą jego istotę opanowała go tak gwałtownie, że sama tylko w nim myślała, działała, rozkazywała. Jak długo tak w łodzi błąkał się około *Czarnego Łabędzia*? ile razy przepłynął tam i napowrót przed oknem pomostu? — sam nie wiedział: działał machinalnie, w myśli jego panował niewypowiedziany bezład. Łzy płynęły z jego oczu, kochał, kochał ślepo, namiętnie — ale serce jego żadnych jeszcze nie tworzyło pragnień.

Gdy nareszcie wysiadł na ląd, wybrzeże zasłane było workami i przeróżnemi pakunkami; majtkowie biegali tam i napowrót przenosząc ciężary i układając je w szalupach; na wozach leżały sterty rozmaitych jarzyn, worków z cukrem i różnych zapasów które zsypywano w wielkie sieci i przeciągano do łodzi. Tłumy dziwacznie potatuowanych krajowców gromadziły się w około majtków, już to pomagając im dźwigać pakunki, już ściągając zręcznie niektóre ulubione przez nich zapasy żywności. Niewielki murzynek pochwycił butelkę z resztką araku i rozkoszując się wypił co do kropli. Stary jakiś mulat niósł na plecach nieżywego kangura, którego chciał ofiarować kapitanowi w zamian za baryłkę wódki, przedzierał się przez tłum, wołając. Bundäary! Bundäary!

Powoli gwar ucichł, opróżniono wody, poprzenoszono pakunki; tłumy się rozeszły, a rozlegający się głos wielkiego dzwonu fregaty, zwoływał majtków na pokład.

Porucznik który wczoraj umawiał się z Danversem, poznawszy go zbliżył się i oznajmił że jutro przed wschodem słońca podniosą kotwicę, poczem wrócił na okręt.

Danvers przez parę godzin błądził bez celu po ulicach miasta i nareszcie po raz ósmy z kolei powrócił na wybrzeże. Wlepił oczy w fregatę i dostrzegł kobiecą postać stojącą na pokładzie. Wsparta o przód okrętu patrzyła w kierunku wybrzeża. Danvers nosił zawsze przy sobie lunetę jakich używają osadnicy do śledzenia za bydłem rozbiegłem po wielkich płaszczyznach. Drżącą ręką nastawił ją i skierował ku fregacie i jakby za dotknięciem czarnoksięzkiej laski, upragniona postać stanęła tuż przed nim. Astronom któryby po długich latach czuwania i obliczań, dostrzegł nareszcie przez teleskop poszukiwanego planetę, zaznałby zaledwie setną część upojenia jakie ogarnęło Danvers'a, gdy mógł nareszcie swobodnie się przyglądać twarzy Laury.

Miała na sobie błękitną muślinową suknię; włosy niedbale okręcane w około głowy, zdającej się uginać pod ich ciężarem, jakby zbyt wątła gałązka przeciążona kwiatem. Blada jej twarzyczka przedstawiała się już to ocieniowana spadającemi lokami, już rozjaśniona uśmiechem niezrównanego wdzięku.

Wiatr igrał z jej włosami, rozwiewał lekkie fałdy jej sukni. Gabryel wpatrywał się w nią z zachwyceniem, rozkoszując się tą myślą że wkrótce ujrzy ją zblizka, że tem samem oddychać będzie powietrzem; że usłyszy jej głos a może nawet mówić z nią będzie. Luneta z rąk mu wypadła; gdy ją powtórnie nastawił już jej nie było na pomoście.

Te kilka minut stanowiło o losach Danvers'a; wiedział już teraz że pokochał Laurę bezgraniczną miłością; nowy Adam, tego dopiero poranku uczuł że żyje. Ujrzał Ewę i zrozumiał żądzę życia i jej urzeczywistnienie przez miłość. Przez resztę dnia nie oddalał się już z wybrzeża, przechadzał się lub leżał na piasku w rozmarzeniu równającem się zachwytowi wyznawców rozmyślających o niebie. Jakże chętnie poszedłby na męczeństwo, gdyby nagrodą jego była miłość Laury!

Noc zapadała, Gabryel jednak nie opuszczał wybrzeża; to przedłużanie godzin oczekiwania sprawiało mu jakąś upajającą rozkosz którą chciał wysączać po kropelce. Wrócił do miasta właśnie w chwili przybycia Debory.

— Co mnie obchodzi ta kobieta? co może być wspólnego między nami? rzekł sobie w duchu spotykając się z nią, i po paru zimnych słowach powitania, znowu zatonął w zadumie.

Jeszcze przed wschodem słońca *Czarny Łabędź* podniósł kotwicę i zniknął z horyzontu.

III.

Główna kajuta *Czarnego Łabędzia* była to wielka sala ciągnąca się przez całą szerokość fregaty i mająca blizko trzydzieści stóp długości; schodziło się do niej po ciemnych i niewygodnych schodach, które spuszczana klapa oddzielała od pomostu. Za podniesieniem tej klapy, można było widzieć obłoki odbijające się w pękniętem zwierciedle wprawionem w ścianę; wielki stół osadzony w podłodze, zajmował środek kajuty, oświetlonej w rogach małemi okienkami, o których wspominaliśmy wyżej. Tak więc wpadało tu tylko blade i niepewne światło, nadające całej komnacie bardzo posępną postać.

Tu Laura i Gabryel spotkali się po raz pierwszy. Rzuciwszy na niego nieśmiałe spojrzenie, poznała w nim nieznajomego który wczoraj tak przypatrywał się jej z łodzi, a budzące się nagle dziecinne wspomnienia, przywiodły jej na pamięć rysy tak głęboko wyryte w jej wdzięcznem sercu. Tak, nie myli się, byłto on, nieznany zbawca jej ojca, którego śmierć wydarła jej następnie. Cała ta scena żywo stanęła jej w myśli; łzy potoczyły się z jej oczu. Danvers sam był tak zmieszany iż nie spostrzegł pomieszania i wzruszenia dziewczyny; zaledwie śmiał spojrzeć na nią. Debora stała przy nim; utkwiła w Laurę ostre i zimne spojrzenie, które ją przejęło jakimś dreszczem przerażenia; co zaś do Debory, ta od pierwszego wejrzenia, przeczuła, odgadła w niej rywalkę.

Zaraz w pierwszych dniach podróży, miał miejsce nader smutny wypadek; stan zdrowia od dawna już cierpiącej ciotki Laury pogorszył się nagle i wkrótce przeniosła się do wieczności. Gdy jej już oddano pogrzebową posługę, gdy po ostatniem pożegnaniu i ostatniej modlitwie, Laura klęcząc na pomoście widziała jak wrzucono w morze śmiertelne zwłoki tej którą kochała i od której była kochaną, niewysłowiona boleść ścisnęła jej serce na myśl, że teraz zupełnie sama została na świecie. Smutek i żal jej nie objawiał się na zewnątrz; od lat młodocianych oswoiła się z cierpieniem i samotnością; matka umarła wydając ją na świat, ojciec, gdy skończyła lat czternaście; gdy zastanawiała się nad ubiegłem swojem życiem, wydawało jej się jakby snem niewyraźnym i jednostajnym, w którym tylko boleść i smutek wybitniejsze zarysowały ślady.

I gdzież ją wiezie ten okręt? jaka przyszłość czeka ją w tym nowym kraju, wśród zupełnie nieznanej rodziny?... Ogarnął ją głęboki smutek; codzień bledsza i wątlejsza przychodziła na pomost, gdzie siadała ze spuszczoną głową, skrzyżowanemi na kolanach rękami, lub stojąc przy parapecie, bezmyślnie rzucała w wodę okruszyny sucharów wielkiemu białemu żaglościgowi (albatros), który dążył szlakiem okrętu żywiony przez majtków, uważających pojawienie się tego największego morskiego ptaka za dobrą wróżbę dla żeglarzy. Namiętność Gabryela olbrzymiała w miarę jak patrząc na jej smutek i odosobnienie, uczuwał boleśnie swoją niemoc przyniesienia najlżejszej pociechy. Byłby oddał życie dla oszczędzenia jej choćby jednej łezki, a nie śmiał nawet zbliżyć się do niej i tylko niepostrzeżony mógł na łzy jej patrzeć. Debora okazywała Laurze zimną obojętność; od czasu strasznego ciosu jakim była dla tejże śmierć ciotki, nie powiedziała do niej ani słówka współczucia lub pociechy. Takie postępowanie zbudziło w Gabryelu uczucie głuchej nienawiści; unikał obecności kuzynki i prawie nie mówił do niej. Debora nie narzucała mu się zbytecznie; chodziła samotna i posępna śledząc nieznacznie postęp rozwoju uczuć, które zazdrość dozwoliła jej odgadnąć; od pierwszego wejrzenia wiedziała że Gabryel zakocha się w Laurze i że Laura pokocha go wzajemnie, wiedziała o tem kiedy sama Laura ani nawet domyślała się tego.

I rzeczywiście zdawało się, że między temi dwoma istotami istniał jakiś niewidzialny węzeł, jakaś tajemnicza siła atrakcyjna, której ani pojąć ani tem mniej oprzeć się mogli; że do tej chwili dusze ich oczekiwały i szukały się wzajemnie i spotkawszy nareszcie, jeszcze zanim miały czas rozpoznać się, zostały pociągnięte ku sobie, nieprzepartem spowinowaceniem. Stopniowo Danvers ośmielił się o tyle iż siadał naprzeciw Laury; powoli Laura oswoiła się z wlepionem w nią spojrzeniem młodzieńca i w spojrzeniu tem jakąś nową, nieznaną czerpała siłę. Nic do siebie nie mówili; wystarczała im niema mowa oczu. Początek tak wielkich namiętności jest równie milczący jak ich chylenie się ku schyłkowi; słowa nie zdolne są wyrazić zachwytu uniesienia serca, równie jak niezdołają pokryć wyczerpania jego uczuć.

Spotykali się codziennie i wzajemna ich miłość wzrastała z dniem każdym; Gabryel nie śmiał jednak jeszcze przypuszczać, że Laura podziela jego uczucia, ale sam o niej tylko myślał, żył tylko nią i dla niej. Niekiedy narzucała mu się myśl o Deborze, ale odtrącał ją jak cień uprzykrzony i stojący między nim a słońcem. Czemże ona była dla niego?... zatartem niemal wspomnieniem minionego życia, bezbarwnego i martwego, niby poczwarki z której powstało to życie nowe i tak pełne które teraz czuł w całej swojej istocie.

A Laura? czy wiedziała jakie węzły łączą Gabryela z Deborą?.., może — a może tylko ich się domyślała z tej zimnej nienawiści jaką tchnęło całe względem niej zachowanie się Debory. Ale z początku tak zatopiona była w smutku po stracie ukochanej krewnej, iż ani się domyślała uczucia budzącego się w jej sercu, a gdy je nareszcie zrozumiała, opanowało ją już tak wszechwładnie iż walczyć z niem nie miała siły. I ona, równie jak Gabryel, zamknęła oczy aby nie widzieć przepaści ku której popychała ich ta miłość, — a nie widząc — zapomniała o niej.

Niemożebność rozłączenia, ciągła jednostajność podróży, brak jakichkolwiek wydarzeń mogących oderwać od jedynej zajmującej go myśli; — wszystko to przyczyniało się do spotęgowania uczucia które jednak po trzech już przeszło miesiącach żeglugi żadnem jeszcze nie zdradziło się słówkiem.

Mijał czwarty tydzień podróży, i nic nie zakłóciło jej jednostajności; dnie schodziły jeden za drugim jak nieustannie zamieniające się fale. Gabryel i Laura marzyli i kochali się w milczeniu; Debora śledziła ich i ukrywała swą nienawistną zazdrość, a *Czarny Łabędź* unosił wszystko troje i ścigany przez swego nieodstępnego albatrosa, przesuwał się po falach oceanu.

(d. c. n)

Odczyty publiczne.

Odczyty Stanisława hr. Tarnowskiego.

Cztery ostatnie odczyty na rzecz Osad Rolnych zajął wykład „O początkach poezyi romantycznej w Polsce" przez profesora Jagiellońskiego Uniwersytetu hr. Stanisława Tarnowskiego. Zaszczytnie znany z prac swoich i talentu, oraz z przeszłorocznych odczytów w tejże sali „o utworach dramatycznych Al. Fredry" profesor Tarnowski wyglądany był z upragnieniem, a powitany z niewymownym zapałem przez tłumnie zebraną publiczność. I nie zawiodła się ona w oczekiwaniu swojem, te cztery bowiem prelekcye daleko wychodziły poza obręb zwykłych popularnych pogadanek, przedstawiając wspaniały obraz poezyi romantycznej i głównych jej twórców, obraz pełny oryginalnych a głębokich poglądów, ujętych w wytworną artystyczną formę, a ożywionych słowem wdzięku i siły pełnem, zarówno umysły jak i serca słuchaczy ujmującem. Poważna ta i piękna praca, w literaturze naszej zajmie niezawodnie bardzo wybitne miejsce, jako najgruntowniejsze i najpiękniejsze studyum, nad utworami Mickiewicza, gdyż głównie o nim mówił szanowny prelegent. Niepraktykowane zaś powodzenie prelekcyi prof. Tarnowskiego, było prostem następstwem niezwykłego talentu jego i zasługi. Śmiało powiedzieć można, że sympatyczniejszego wykładu, rozleglejszych poglądów, wygłoszonych w tak barwnem i żywem słowie, mówcy z takim talentem, pokolenie nasze nie słyszało w Warszawie. Cóż więc dziwnego że za żadną cenę i przez żadne protekcye, nie można było dostać chociażby najlichszego miejsca, jeśli kto dobrze naprzód nie pomyślał o tem.

W poważnym wstępie profesor Tarnowski po mistrzowsku zarysował tło rozwoju poezyi romantycznej w obcych krajach, wykazał jakto genialne dziecko zrodziło się po burzliwych i krwawych pełnych zawodów i wątpień przejściach wielkiej rewolucyi francuzkiej, po której świat pomimo tylu straszliwych wysiłków „zawiódł się sam na sobie" jak wyraził się profesor Tarnowski, a wpływy tego rozczarowania odbiły się w życiu, usposobieniu i dziełach mistrzów nowej poezyi, którą stosowniej byłoby nawać „poezyą odrodzenia." Lord Byron w Anglii a Alfred de Musset we Francyi, najwymowniej, według niego, to ogólne wyrażają usposobienie. W ich dziełach toczy się nieustanna walka dobrego ze złem, ideału z niewiarą, miłości z nienawiścią i pogardą wszystkiego coby kochać i szanować chcieli. Wśród tylu obalonych lub podkopanych zasad, nigdzie nie widzą punktu oparcia tak dla siebie jak i dla ludzkości. Dokąd kierować kroki, gdy dawne obalono drogoskazy, a nowych natomiast nie postawiono? Dokąd się schronić, gdzie spocząć, gdy stary dach rozebrano nad głową, a o nowym nie pomyślano je-

szcze? Ztąd zwątpienie, gorycz i niewiara które szarpią serca tych mistrzów poezyi romantycznej. Taka była treść charakterystyki Byrona i Musseta którą prelegent podał w wyczerpującym rozbiorze dzieł ich, obszerniej nad pierwszym się zastanawiając.

W innych warunkach i wcześniej nieco rozwijała się poezya romantyczna u Niemców. Pomiędzy poetami świata. prof. Tarnowski na samym szczycie umieszcza Goethego, jako Jowisza na tym Olimpie, spokojnego, majestatycznego, najwyższego może, ale „odosobnionego.“ Filozof i estetyk, pogrążony w ideach mniej więcej oderwanych i rozkoszujący się pięknością form, nie może się zdobyć na uczucie żywe, gorące, prawdziwie ludzkie. Że tam ktoś cierpi w dole, że gdzieś poniżej dmą wichry szalone, to nie obchodzi filozofa i estetyka, na takich wyżynach samotnie siedzącego. Nieco niżej tego Jowisza poetów, prelegent w jednym rzędzie umieszcza Schillera, Byrona i Mickiewicza, za nimi Krasińskiego, a niżej nieco Słowackiego i dalszą plejadę naszych poetów. Żałujemy mocno że miejsce nie dozwala nam przytoczyć wielu zdań znakomitego krytyka, któremi usprawiedliwiał tę klasyfikacyą swoją i gruntowne rozbiory celniejszych utworów obcych poetów.

Po tym ogólnym zarysie, prelegent wkroczył na pole najbliższe sercu słuchaczy. Po peryodzie upadku, czyli jak się wyraził „zdziczenia” poezyi polskiej w XVII i większej połowie XVIII wieku, przebiegł szybko epokę z ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia, oddając należne uznanie wyrobieniu się formy i przyznając, że duch który ją ożywiał podobnym już był w części do tego, co tak wysoko wzniósł później naszą romantyczną poezyą. Następnie przechodząc do Mickiewicza, opisywał jego piękną młodość, ową rzeźbiarkę cudowną która wykuwa żywot cały, a choć sama zbyt szybko przemija, jednak „znaki jej dłuta“ pozostają dopóki człowiek żyje i dopóki dzieła jego istnieć będą. Dalej przytoczywszy wierszyk „Pierwiosnek” umieszczony na czele pierwszego zbiorku poezyi jakie wydał w 1822 roku, przyrównał je do ówczesnego stanu duszy poety, który nie ufny w siły swoje, sam do siebie woła: „Zawcześnie kwiatku, zawcześnie!” a rwie się jednak do lotu całą potęgą orlich skrzydeł swoich.

Mówiąc o istocie geniuszu Mickiewicza, szanowny prof. porównywał go z wielkimi poetami Krasińskim i Słowackim, wykazując wyższość jego nad nimi. W jego bowiem utworach wszędzie żywe i głębokie panuje uczucie, wyobraźnia umie sprostać tej wielkiej miłości, a rozum jest dla obu mądrym przewodnikiem, i te trzy siły ducha ludzkiego będąc w najdoskonalszej z sobą harmonii, czynią go twórcą prawdziwie genialnym. Według zdania szan. prelegenta, w Krasińskim często przemaga umysł i uczucie, a wyobraźnia rzadko z niemi na równi staje; w Słowackim zaś wyobraźnia unosi się na zbyt rozbujałych skrzydłach, bez dostatecznej rozwagi. Krasiński wzrusza i pobudza do myślenia ale nie zawsze zachwyca, a Słowacki pomimo słów własnych:

„Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną,
Pójdę gdzieindziej i lud pójdzie za mną.”

dążył za chwilowym porywem, nie szedł lecz skakał w szalonych susach, nie zdając sobie wyraźnie sprawy dokąd zajdzie, i chociaż mu się zdawało że jest samodzielnym trybunem, bezwiednie uległ wpływom obcym, bez zbadania gruntu i bez „przeczucia zdarzeń“ jak o nim słusznie rzekł Krasiński, a sama tajemniczość wielu jego obrazów, dowodzi mglistości i niepewności jego pomysłów.

Rozbierając szczegółowo Dziady, ten najpiękniejszy poemat miłości, do którego tylko jeden poemat Słowackiego „w Szwajcaryi” przyrównać się może, prof. Tarnowski porównywał Gustawa z bohaterami poematów Goethego: Werterem i Faustem. Ale jakże wyżej od nich stoi Mickiewiczowski Gustaw. Werter i Faust z uczuciem silnem ale egoistycznem, którzy nic oprócz samych siebie nie ukochali, nikną bez śladu i nie odradzają się wcale, jak się odrodził Gustaw zamieniając się w Konrada. A nawet i ten Gustaw nim się przerodzi, zmieni inne drogi i cele życia, jakże pięknie się wyróżnia wśród tłumu powszednich kochanków. Prelegent cudownie objaśnił ten pomysł wielkiego poety, owego Gustawa zjawiającego się w postaci upiora, męczennika zawiedzionej miłości, pokutnika za własną winę. Gustaw, upior zaklęciem wiary swego ludu wskrzeszony, czuje tak jak czuł dawniej, kocha tak samo, cierpi też same męczarnie i dla nauki swych braci, znowu w tenże sposób umiera. Z przygód miłości Gustawa, prelegent z niezwykłym talentem wysnuł dramat rzeczywisty, rozwijający się przez wszystkie stopnie uczucia, które zrazu nieśmiałe i siebie nieświadome, wzrasta w namiętność, przekształca się w cierpienie i ginie w rozpaczy, ale i wtedy jeszcze nie umiera na zawsze. Albowiem nadchodzi pora gdy to uczucie na nowo powstaje w zbolałem sercu młodzieńca, ale piękniejsze, wznioślejsze, ogólniejsze i Gustaw zmienia się w Konrada. Są to własne dzieje poety. Szerokie, wspaniałe, otwiera się przed nim pole. Pod wpływem tego przerodzonego uczucia, autor Dziadów tworzy Wallenroda, Pana Tadeusza i t. d. Po stracie pierwszych ideałów, źródło natchnienia nie wysycha w nim i nie pokrywa się pleśnią, z większą nawet potęgą, tylko w odmiennym płynie już kierunku.

Nim ten zwrot nowy nastąpił, pojawia się utwór zupełnie innego rodzaju, spokojny, opracowany na wzór epickich pieśni Homera. „Grażyna”, ukazuje się w formie klasycznej. chłodna, wzorowo piękna. Musiała więc być chwila dla duszy poety niczem nie zakłóconej pogody, podczas której, między czwartą częścią Dziadów a Wallenrodem, między temi dwoma nawałnicami, mógł stworzyć to arcydzieło spokojne i chłodne, które według zdania prelegenta, jako powieść poetyczna zajmuje wraz z „Maryą” Malczewskiego, pierwsze miejsce w literaturze wszystkich wieków i wszystkich ludów. Zdanie to było tak wymownie poparte przedstawieniem zalet Grażyny, że niepodobna niezgodzić się na nie. W ogóle cały rozbiór tego poematu, charakterystyka samej bohaterki, księcia Litawora, starego Rymwida jakoteż ówczesne dzieje Litwy i jej stosunki, obraz Krzyżaków na zdobycz czyhających, wszystko to tak po mistrzowsku przedstawionem było, iż ten rozbiór jakoteż i analiza „Dziadów” stanowią prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju.

Dalszą rzeczą o Mickiewiczu była krótka wzmianka o balladach jego i pomniejszych utworach, z których najpiękniejszym według prelegenta jest *Farys*, a z ballad *Świtezianka*; na zakończenie zaś odczytów swoich, prof. Tarnowski postawił pytanie: o ile mają słuszność ci którzy przez tyle pokoleń i tak wielbioną poezyę romantyczną, dziś obrzucają szyderstwem i potępiają jako rzecz która wielką szkodę narodowi naszemu przynosi. Rzecz prosta iż na to pytanie odpowiedział przecząco. Zgodził się na potrzebę zdrowej, rozumnej krytyki, któraby od dobrego ziarna oddzieliła plewy, ale siłą rozumowania i potęgą uczucia, które zelektryzowało słuchaczy, zgromił i starł na proch tych niepowołanych, którzy odmawiają jej należnych zalet i zasług, pomawiając o zgubne dla narodu następstwa, tych którzy pozbawiając się kolejno wszystkich ideałów, i miłości ludzkich, w grubym pogrążając się realizmie, dochodzą w końcu do zbydlęcenia i innych za sobą pociągnąćby chcieli. Zarówno zwycięzko odparł zarzuty czynione „Panu Tadeuszowi” za wyprowadzenie i poetyzowanie burd i zajazdów szlacheckich, wykazując wcale inną myśl przewodniczącą w tym poemacie; a śmiesznością okrył tych którzy zarzucają poezyi romantycznej cofanie społeczeństwa do wieków średnich, wprowadzając na scenę widma, upiory, zabobony i wiary gminne.

Jakkolwiek prof. Tarnowski dla braku czasu nie wypowiedział wszystkiego co o tym przedmiocie powiedzieć jeszcze należało, i nie wyczerpał go wcale, wszelako te cztery jego odczyty za pierwszorzędne na najwyższych katedrach byłyby uważane. Wysokie jego stanowisko jako krytyka, obfitość i oryginalność myśli, głębokość zdań, piękność i siła słowa, głos dźwięczny i donośny, wszystko to u prof. Tarnowskiego składa się na prawdziwie zachwycającą całość; łatwo więc się pojmuje entuzyazm jaki te prelekcye wzbudziły we wszystkich bez wyjątku słuchaczach, którzy istnym grzmotem oklasków nieustających, dziękowali za tę tak miłą i świetną biesiadę dla serca ich i myśli.

Przegląd literacki.

Opowiadania historyczne przez D-ra A. J. Lwów 1876.

(Dalszy ciąg).

Mahomet IV wjechał jako zdobywca do Kamieńca 1672 r. ulicami, skropionemi krwią wołową (użytą tym razem zamiast ludzkiej, jak zwykle) i wysłanemi obrazami, zabranemi z kościołów wszystkich obrządków. W katedrze, obróconej na meczet, zawieszono kosztowną chorągiew Proroka, wartości 80,000 talarów. Cztery kościoły obrócono na meczety, a resztę na magazyny i składy wojskowe. Miasto zostało zupełnie splądrowane: Turcy wywieźli łupy na 600 wozach; samych kosztowności kościelnych, srebra, złota i drogich kamieni zabrali kilkadziesiąt pudów. Załogę i szlachtę okoliczną, która szukała schronienia w Kamieńcu, Turcy puścili do Polski; przy tem autor podaje niejeden szczegół budujący i rozrzewniający tak np. wiele kobiet uwoziło obrazy cudowne z kościołów, wybłagawszy je od Turków ze łzami, a Rafał Makowiecki za cały majątek wywiózł tylko trumny z prochami przodków, które złożył w kościele jezuickim w Krakowie. Nie brakło także objawów smutnych: niektórzy ze szlachty, dla ocalenia życia i majątku, przyjmowali wiarę Mahometa; wszelako wielu z nich pomimo to zginęło marnie, jak Marcin Lanckoroński i Potuszyński, którego romantyczne przygody i tragiczny koniec opowiada autor.

Bezsilna i, co najgorsza, wewnętrzną niezgodą szarpana Rzeczpospolita traktatem w Buczaczu 1672 r. ustąpiła Turkom Podola i zobowiązała się nawet do haraczu, od którego uwolniło Polskę zwycięztwo chocimskie Sobieskiego. Nowa granica Polski od Turcyi była aż do 1699 r. nad Zbruczem, a ztąd aż do Dniepru gospodarzyli Turcy i Tatarzy Lipkowie. Panowanie tureckie prowadzi za sobą zawsze zniszczenie i ruinę: istotnie, trudno nawet uwierzyć szczegółom, przytaczanym przez autora o upadku miast, wsi i o wyludnieniu kraju, tak bogatego niegdyś i urodzajnego. Przez kilka i kilkanaście dni drogi nie można było napotkać ludzkiej siedziby; mieszkańcy całej tej Ukrainy tureckiej opuścili ziemię ojczystą i przesiedlili się za Dniepr.

Oprócz dziejów Potuszyńskiego, wprowadza także autor epizodycznie do swego opowiadania obraz dzikiej postaci i okrutnych czynów jednego z przywódców Lipków „beja Kryczyńskiego," który rezydował w Husiatynie i w Barze, wsławił się łupieztwem i w końcu sam został zamordowany przez własnych żołnierzy. Mamy tu jeszcze smutne przygody jednego ze szlachetniejszych Lipków — Krzeczkowskiego, który w końcu uzyskał przebaczenie króla i Rzeczypospolitej i z częścią Lipków powrócił na Litwę. Wspomina także autor o mało znanych a wielce zasłużonych mężach, którzy w owych smutnych czasach mężnie i dzielnie, choć ze szczupłemi środkami, bronili kresów polskich od napadów dziczy; byli to: książę Dymitr Wiśniowiecki, Gabryel Silnicki kasztelan czernichowski i regimentarz Marcin Bogusz, wierny towarzysz i pomocnik Jana III. Pomimo wszelkich laurów Sobieskiego, Rzeczpospota za jego rządów tylko odpornie mogła zachowywać się względem Turków i chociaż oni sami wkrótce opuścili Podole i część Ukrainy i zatrzymali prawie sam tylko Kamieniec, ale i tego Polacy odebrać nie mogli: sztandar Proroka powiewał nad Smotryczą aż do 1699 r. gdy w skutek układu z Augustem II Turcy opuścili Kamieniec; a i dziś jeszcze minarety z półksiężycem wznoszą się nad katedrą na pamiątkę panowania tureckiego. Sobieski tyle jednak dokazał, że nie pozwolił nawale tureckiej podbić dalszych krajów Rzeczypospolitej. Podole i Ukraina pozostały najdalszym na Północy kresem tureckich podbojów, z ostatniej epoki potęgi Porty, która już po Sobieskim o podbojach marzyć nie mogła.

Drugie opowiadanie, treścią swą ściśle z pierwszem połączone, nosi tytuł „książę Sarmacyi". Nie o starożytnych to jednak Sarmatach mowa, ale o monarsze państwa, o którem zaledwie kto słyszał nawet zpomiędzy historyków — o księciu Ukrainy Tureckiej, której taki tytuł nadała Porta, wymyśliwszy go specyalnie dla Jurka czyli Jerzego Chmielnickiego, młodszego syna i ostatniego potomka słynnego Bohdana. Nędzne to księztwo wraz ze swoim księciem istniało tylko dwa lata (1685—1687) a stolicą jego był Niemirów na Podolu. Autor opowiada szczegółowo dzieje Jurasia, wychowanego śród okropności wojen kozackich, gdy krew przelewano jak wodę, a obie strony prześcigały się w okrucieństwach, rzeziach i pożogach. Był czas jakiś hetmanem kozaków po Wyhowskim, ale gdy raz pozwolił Tatarom uprowadzić w jasyr 120,000 ludzi, stracił popularność, złożył hetmaństwo i wstąpił do klasztoru; potem skosztował niewoli polskiej i tureckiej, aż go nareszcie sułtan mianował księciem Sarmacyi. Książę hulał po turecku i to znowu naraziło go na niepopularność, aż wreszcie gdy kazał wbić na pal żydówkę, żonę Oruna, który dostarczał Turkom piękności haremowych, za wpływem tegoż żyda osądzony został przez Turków na śmierć i stracony, niewiadomo gdzie mianowicie, może w Kamieńcu, gdzie paszowie na niego sąd złożyli. Szkic ten pełny okropności i szczegółów obudzających zgrozę: w tych smutnych czasach, w skutek rozpasania nienawiści plemiennej i religijnej zupełne barbarzyństwo zapanowało w ziemiach ukrainnych.

Trzeci szkic „Odwiedziny monarsze w Kamieńcu r. 1781" poświęcony pobytowi w tem mieście Stanisława Augusta, gdy jeździł na spotkanie przejeżdżającego przez Ukrainę za granicę następcy tronu rosyjskiego W. Ks. Pawła. Dyaryusz pobytu królewskiego, choć po raz pierwszy tak dokładnie skreślony, mało przedstawia ogólnego historycznego interesu i dla tego to opowiadanie mniejszą ma wartość od innych. Wszelako w opisie tym przebijają główne cechy charakteru Stanisława Augusta: słodycz i uprzejmość towarzyska, niechęć do wojskowości i spraw ważnych i słynne jego upodobanie w płci pięknej, które i w Kamieńcu dało się poznać w przelotnym stosunku z jakąś piękną Ormianką. Poniatowski zwiedzał wtedy Kamieniec powtórnie, gdyż na 47 lat przedtem porwany był, w wieku dziecięcym, przez stronników króla Leszczyńskiego, wywierających zemstę na jego ojcu i wujach Czartoryskich i zawieziony do twierdzy Kamienieckiej. Król przypomniał sobie tę okoliczność i odwiedził staruszkę, która go w dzieciństwie poiła wyborną kawą. Nadto jest w tym szkicu nieco nowych szczegółów o mieszczaństwie kamienieckiem i jego przywilejach, szczególniej o Ormianach, z których, jak się zdaje, pochodzi i autor. Pomiędzy innemi, znajdujemy tu ciekawy przykład poszanowania pamiątek historycznych przez obecne pokolenie: pewna wdowa po urzędniku w Kamieńcu mieszkająca, sprzedawała Żydom na makulaturę mnóstwo starożytnych dyplomatów i dokumentów; znajdujące się zaś przy nich woskowe pieczęcie zastrzegła dla siebie i nieraz chwaliła się potem, że z tych woskowych „miseczek" zebrała aż 8 funtów wosku, używanego następnie do woskowania posadzki. W opowiadaniu występuje także marsowa osobistość generała Witta, ówczesnego komendanta Kamieńca; syn tego Witta, również komendant kamieniecki, odegrywa niezbyt zaszczytną rolę w trzech ostatnich opowiadaniach. *(d.n.)*

Korespondencya z Paryża.

O ubiorach.

(Dokończenie).

Okrywki tegoroczne składają się po większej części z paletocików obcisłych, w rozmaitym rodzaju. Jedne zapięte na przodzie rzędem guzików, inne znów spinają się ukośnie od lewego boku do prawego. U jednych są rękawy, inne bez rękawów, tworzą jakby długie kamizele, przystające lekko do figury. Po większej części robią je z czarnego kaszmiru, przybierają pasmanteryą i frendzlą. Po bokach idą zwykle kieszenie.

Dla starszych osób uważaliśmy mantyle w kształcie dolmanów, z tkaniny *Sicilienne*, przybierane pasmanteryą i frendzlą.

W kołnierzykach tę spostrzegamy tylko nowość, że je obszywają koronką *torchon* lub walensienką z brzeżkiem kolorowym. W miejscu gdzie koronka łączy się z płótnem, idzie rząd muszek haftowanych odpowiedniego koloru. Mankiety u rękawów stosowne mają ozdoby.

Do większego ubrania, na obiad lub teatr, miejsce kołnierzyków zastępuje garnirunek z koronki lub blondyny, mieszanej z gazą, przepinanej kokardami w jednym lub dwóch odcieniach.

Przejdźmy nakoniec do sukien, wybranych na model przez panie Kuhnke. Wszystkie odznaczają się prawdziwie wytwornym smakiem. Zaczynamy opis nasz od kostiumów, jako najwłaściwszych na tę porę.

Pierwszy kostium składa się ze spódniczki czarnej jedwabnej, przybranej u dołu plisowanemi falbankami. Na to idzie długa poloneza, z lekkiej tkaniny popielatej wełnianej, obszyta frendzlą popielatą. Tylne bryty, podpięte szarfą czarną jedwabną, z wielką kokardą w pośrodku. Przód spina się na drobne kokardki czarne; stanik upięty na guziki. Czarny kołnierz jedwabny i czarne mankiety u rękawów dopełniają ubrania.

Drugi kostium zupełnie czarny, ma spódniczkę podobną z wolantem. Przedni bryt jedwabny w fałdy, przystrojony trzema kokardami. Boki z kaszmiru fałdowane poprzecznie. Tylny bryt także kaszmirowy, podpięty fantastycznie kokardą. Przód stanika jedwabny, spięty na kokardy, tworzy kamizelkę; reszta stanika kaszmirowa.

Trzeci kostium ciemno-zielony, składa się ze spódniczki jedwabnej garnirowanej u dołu, tkaniną wełnianą *chiné* w tychże odcieniach. Na to idzie poloneza wełniana: z przodu tworzy długi fartuszek (tablier) spięty na guziki, z tyłu krótszą draperyą zakończony szerokim wolantem. Plisa jedwabna oznacza niby kaftanik, po bokach jedwabne kieszonki. Kołnierzyk marynarski także jedwabny, równie jak mankiety u rękawów.

Kończymy wreszcie opisem czterech sukien *Princesse*, przeznaczonych do większego ubrania.

Pierwsza z nich czarna jedwabna; główną ozdobę jej stanowi draperya wychodząca od tylnego brytu poniżej stanu, krzyżująca się na boku lewym i znów połączona w tyle nad powłoką. Draperya ta obszyta u dołu taśmą czarną, z haftem koloru lipowego. Z pod taśmy spada frendzla jedwabna czarna, pomieszana z lipowym.

Druga suknia jedwabna oliwkowa, ma spódniczkę ogarnirowaną, plisowanemi falbankami, na wierzch rzucona lekka draperya z frendzlą u dołu, a nad tą draperyą, druga węższa, w odcieniu jaśniejszem, cała układana w zakładki. Stanik wysoki pod szyję, środkiem pleców idzie pas z materyi jaśniejszej, od niego dwie szarfy przeciągnięte na spódnicę łączą się z draperyą.

Trzecia suknia *Princesse*, z lekkiej tkaniny wełnianej w kolorze *maron*, ma na spódnicy draperyą tworzącą fartuszek, przyczepioną z jednej strony rzędem jedwabnych pukli. Stanik spięty na małe guziki jedwabne. U rękawów wielki jedwabny mankiet, zakończony w górze zębami, krawatka jedwabna *maron* dobrze odpowiada całości.

Ostatnia suknia, najstrojniejsza ze wszystkich, ma spódniczkę jedwabną koloru lipowego, z dwoma plisowanemi falbankami. Na to idzie *vêtement*, z lekkiej tkaniny *chiné*, w kolorach błękitnym i lipowym. Przód oddzielony zupełnie od tylnych brytów, tworzy jakby fartuszek przyfałdowany u dołu w kształcie wachlarza. Takaż sama draperya spada na tył spódnicy. Z jednego boku, wielka kokarda z materyi lipowej, z drugiego boku kieszonka zawieszona na sznurze jedwabnym. Stanik i rękawy z tkaniny *chiné*; kołnierz zaś marynarski i szerokie mankiety z takiejże materyi jedwabnej jak spódnica.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 7 (19) Апрѣля 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 15.

(Dokończenie).

N. 39. Czepeczek neglżowy.

Owalne denko czepeczka, skośnie przykrojone z muślinu, mające 36 cent. długości a 26 szerokości, w równe fałdki lub zmarszczki ułożone, wszyte jest w pasek podwójny ze sztywnego tiulu, mający 53 cent. długości, zaszyty trochę w ząb z tyłu i z przodu. Falbanka 4 i 6 cent. szeroka, koronką oszyta drobniutko plisowana i w kontrafałdki ułożona, stanowi garnirunek czepeczka. Nad falbankami przewinięta jest wstążka 6 cent. szeroka, z tyłu w długi pukiel i koniec związana. Nad czołem zręczna kokarda.

N. 40. Czepeczek opisany przy ryc. 14 w N. 14 Tygodnika.

N. 41—42. Fartuszek dzienny. Stosowne szlaczki ryc. 55—56.

Fartuszek robi się z prostego bryta perkalu, mającego 40 cent. długości a 172 szerokości, który zeszywa się z tyłu, obrębia u dołu, w górze układa w kontrafałdy 4 cent. szerokie, przedzielane odstępami $3^1/_2$ cent. szerokiemi; w górze do pasa przestębnowane, dalej zaprasowane. Z przodu na odstępach między fałdami, wyszyte są kolorową bawełną szlaczki podane na ryc. 55 lub 56. Ramiączka z prostych pasków ścina się skośnie i przyszywa do prostych pasków z tyłu i z przodu. Fartuszek zapina się z tyłu na guziki i dziurki dane przy pasku i rozporku. Garnirunek z koronki albo szlaczku haftowanego.

N. 43—44. Kołnierzyki płócienne.

N. 45. Koroneczka do bielizny. Minjardyska medaljonowa i robota szydełkowa.

N. 47—48. Koszula przyciągana na tasiemkę, ozdobiona haftem i koronką.

Krój koszuli zbyt jest znany, niepotrzebuje więc opisu. Haft z koronką stanowi zwierzchnią część rękawka podług którego łatwo można ułożyć haft na koszulę.

N. 49. Staniczek na sznurówkę, któren kraje się podług dobrej formy stanika z baskiną.

N. 50. Koszula dzienna najzwyklejszą formą z dodaniem miary ramiączek i paska. Rękawy przysznurowane. Niektóre praktyczne gospodynie, radzą do mniej strojnych koszul, rękawów nie wszywać tylko przysznurowywać w sposób na ryc. 50 wskazany. Rękawy bowiem zwykle najprędzej drą się u koszul, tym więc sposobem unika się zmudnej pracy wyparania i wszywania nowych.

N. 51. Majtki w jednej sztuce krajane. Krój N. XXI, Fig. 60.

Takie majtki kraje się z jednego prostego bryta perkalu; jeżeli szerokość byłaby niedostateczną, dodaje się oddzielne kliniki, główną zaletę stanowi oszczędność materyału. Kolisty podkrój wszywa się w wązki pasek urządzony do przyciągania i wiązania z tyłu na tasiemkę.

N. 52. Wolant powietrzny do spódnicy.

N. 53—56. Szlaki do bielizny.

Opis do N. 16.

N. 1—4. Ubrania spacerowe.

N. 1 i 3. Długi paletocik dla małej dziewczynki.

Przy zmiennej i niestałej wiosennej pogodzie, tak dla pań starszych jak i dla małych dziewczynek w dni chłodne lub dżdżyste używane są długie paletoty z szewiotu, sukna, korciku lub *waterproof'u*, odrobione podług znanej formy Ulster bez zbytnich ozdób.

Ryc. 1 i 3, przedstawia z przodu i z tyłu paletocik z jasno-popielatego sukna, zapinany z przodu lub z boku na 2 rzędy guzików, oszyty wypustką z materyi i przybrany kokardami ze wstążki tego samego koloru.

N. 2. Długi palêtot z szewiotu lub sukna w paski, formą „Ulster“ zapinany na 2 rzędy guzików.

N. 4. Vêtement paltocikowe z szewiotu lub innej wełnianej tkaniny, przybrane pliskami z materyi, kokardamį i frendzlą. Dla dziewczynki lat 7—9.



N. 1. Paletocik dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 3.

N. 2. Paletocik do ubrania spacerowego.

N. 3. Paletocik dla małej dziewczynki. Przód do ryc. 1.

N. 4. Vêtement paltocikowe dla dziewczynki.

N. 5—20. Bielizna do wyprawy wiązana wstążkami.

W roku zeszłym oznaczyliśmy liczby wszelkiej bielizny do zasobnej lecz nie zbytkownej wyprawy, bo ta ostatnia nie da się pod żadne prawidło podciągnąć i zależy zupełnie od osobistych zasobów i upodobania. W N. 15 z r. b. podaliśmy rozmaite modele mniej lub więcej ozdobne, a w dzisiejszym Numerze wskazujemy w jaki sposób wszelka bielizna powinna być składana i wiązana wstążkami. Ryc. 5 wskazuje sposób składania koszul nocnych, kaftaników i penioarów; koszule dzieli się na całe lub $^1/_2$ tuziny — penioary i kaftaniki po 3, podług bogactwa lub rozmaitości garnirunków.

Koszule dzienne po 6 lub 12, spódniczki składa się po 3, np. 3 flanelkowe, 3 pikowe lub barchanowe, 3 do kostiumu perkalowe, 3 z cienkiej wiktoryi z haftem lub koronką, i t. p. Rozmaite chustki do nosa dzieli się tuzinami, bieliznę do łóżek składa się zwykle garniturami, razem, prześcieradła na łóżko, poszewki i prześcieradła pod kołdry jednakowo ozdobione haftem lub wstawkami. Bieliznę stołową także układa się garniturami.

Haft krzyżowy wyszyty na podłożonej kanwie różnokolorową bawełną, co raz bardziej wchodzi w użycie do przyozdobienia bielizny. Ręczniki i bielizna stołowa już fabrycznie bywa wyrabiana ze szlakami kolorowemi, zawsze jednak wyszycie ręczne jest kosztowniejsze i uważane za piękniejsze. Przy bieliźnie stołowej wyszycie krzyżykami odrabia się naumyślnie pozostawionych z brzegu pasach gładkich, zaś przy szlakach deseniowych odznacza się kontury i żyłki ściegiem sznureczkowym lub długim, bawełną kolorową.

N. 21—23 i 28. Wachlarz z koronką robioną na drutach i malowana szkatułka do wachlarza.

Materyał: cienki czarny jedwab maszynowy, albo białe koronkowe nici N. 200, złota nitka, 2 cienkie druty stalowe.

Na delikatnie wyrobionej osadzie drewnianej, czarnej, gładkiej i bez lustru, oprawiona jest koronka czarna lub biała, robiona na drutach a wywodzona nitką złotą. Ryc. 21 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę koronki 15 cent. szerokiej, której długość odpowiadać powinna wielkości wachlarza. Wykończoną i rozciągniętą koronkę przykleja się gumą płynną z prawej strony do skrzydełek drewnianych, a od spodu podkleja kolorowy fular lub marselinę bo sama koronka jako zbyt przezroczysta nie odpowiedziałaby celowi. Wszystkie kontury deseniu wywodzi się nitką złotą, a dla rozciągnięcia wilży gotową robotę wodą i prasuje pomiędzy dwoma kawałkami płótna. Zmudną robotę na drutach można zastąpić pięknym tiulem czarnym lub białym, cerowanym jedwabiem lub pelą i wywodzonym nitką złotą. Szkatułka tekturową okleja się papierem czarnym i bordiurką złotą, a wierzch przykrycia zdobi malowanie wykonane podług ryc. 28. Tło jest koloru drzewnego, arabeski odznaczone linijkami czarnemi są złote, a groszki naprzemian karmazynowe i jasno-szafirowe.

N. 24—25. Dwa sznury do wachlarza.

Przy sukniach princesse wciętych i gładkich, prawie konieczne dopełnienie stanowią kieszonki lub wachlarze, zawieszone na sznurze, luźno zarzuconem w koło figury. Sznury te mogą być w kolorze sukni, albo czarne jedwabne do wszelkich sukien służące; można je rozmaicie układać w węzły albo pozostawić gładko i ozdobić kokardą ze wstążki takiego jak sznur koloru, jeden koniec zawsze zdobi się kwastem. Na ryc. 24 widzimy sznur gładki ozdobiony kokardą

N. 5—20. Bielizna do wyprawy złożona i wiązana wstążkami.

pod którą zapina go się na guziczek i pentelkę. Na ryc. 25 mamy sznur przewiązywany w węzły, w odstępach 8—10 cent. przy kwaście zakończony agrafą, przy której znajduje się mała pentelka, do zapięcia sznura na sprężynkę dodaną w przeciwnym końcu. Inna sprężynka umieszczona w kwaście służy do zaczepienia wachlarza.

N. 26 i ryc. 15 w N. 17. Kaftaniczek flanelkowy dla dziecka.

Podług znanej luźnej form przykrojony kaftaniczek z białej lub kolorowej flanelki albo sukna, wycina się w zęby u dołu i zdobi haftem włóczkowym. Model był z flanelki białej ozdobiony haftem maszynowym, włóczką niebieską i białą, podług deseniu podanego na ryc. 15 w N. 17 Tygodnika.

N. 27. Kaftaniczek dziecinny. Robota maszynowa, z włóczki białej angielskiej.

N. 29 i 30—33. Serwetka albo patarafka na kanwie jawa.

Podobne patarafki rozmaitej potrzebnej wielkości, ozdobione kolorowem wyszyciem, służyć mogą na toaletę lub umywalnię, do podkładania pod różne przybory. Ryc. 30 podaje w naturalnej wielkości próbkę szlaku i rodzaje ściegów, a ryc. 31 deseń rzutu odrobionego na ryc. 29. Inne odpowiednie desenie załączamy na ryc. 32—33. Model odrobiony był na kanwie jasno-bronzowej; pod szlak podłożona była taśma ciemno-bronzowa wełniana; do wyszycia użyto dwóch cieni włóczki niebieskiej, 2 ponsowe, kolor czarny, jasno orzechowy i filozelę maisową. Frendzla siepana jest z kanwy i wiązana włóczką.

N. 34. Szlak do krawatki. Zobaczyć ryc. 1 w N. 12 Tygodnika.

N. 35—38. Wstawki do sukien lub bielizny.

Do ryc. 37 grubo odznaczone kontury i żyłki obwodzi się nićmi płaskiemi świecącemi, dziurki obrabia się ściegiem sznureczkowym, do cerowania służą nitki koronkowe. Brzegi wstawki zakończone obrębami. Wstawka ryc. 38 wywodzona nićmi płaskiemi.

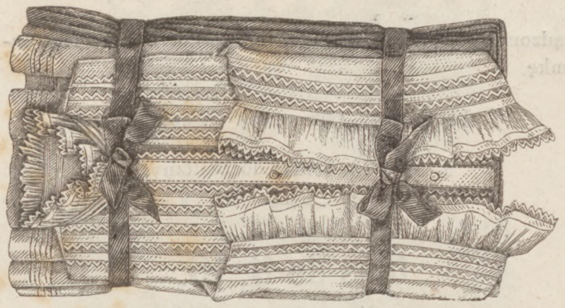
N. 39. Koronka do sukien lub t. p., robiona na tiulu.

N. 40. Koronka irlandzka.

N. 41. Koniec do krawatki.

N. 42. Szlak do chustki od nosa. Robota koronkowa na tiulu.

Oprócz zębów narożnych w szlaku powinno być po cztery zęby z każdej strony. Do roboty potrzebna tasiemeczka gładka i dwa rodzaje medaljonowej; do wywodzenia użyte były nici płaskie a do kratek bawełna kordonkowa. Wąsy i gałązki robione sznureczkiem.



N. 5. Peniuary. Tak samo dają się składać kaftaniki i koszule nocne.



N. 6. Koszule dzienne.



N. 7. Majtki.



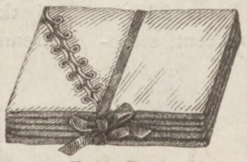
N. 8. Krótkie spódniczki flanelowe pikowe i perkalowe.



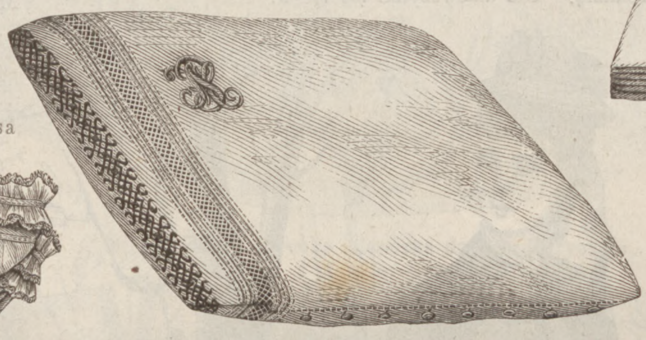
N. 9. Fartuszki.



N. 10. Chustki do no sa



N. 11. Chusteczki na szyję.



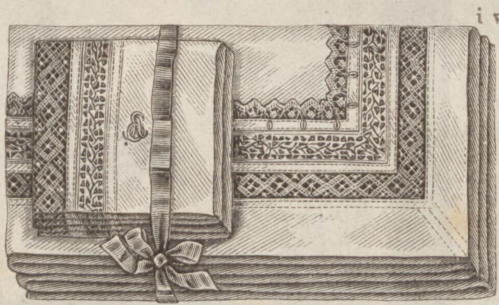
N. 15. Poszewka ze szlakiem wysyszytym krzyżykami i wszywką.



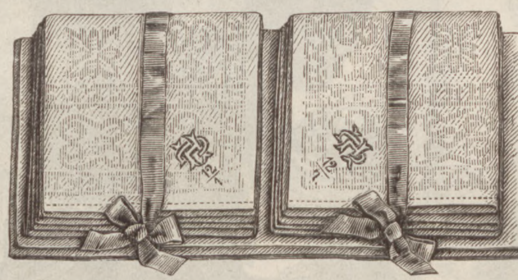
N. 12. Czepeczki nocne



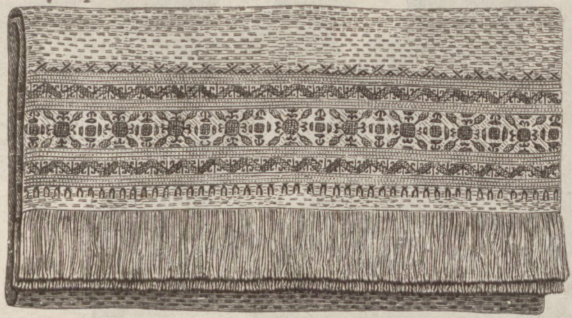
N. 13. Pończochy.



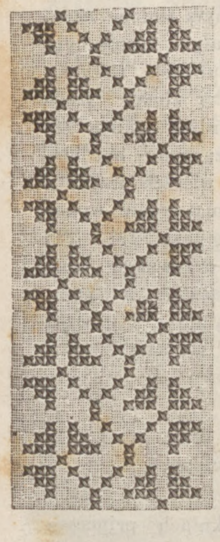
N. 14. Prześcieradła pod kołdry i poszewki.



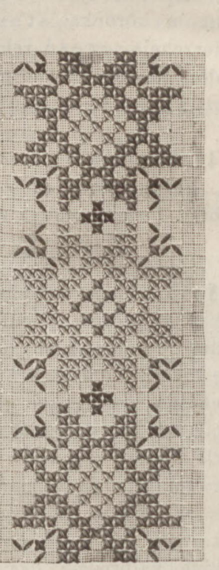
N. 18. Obrusy i serwety.



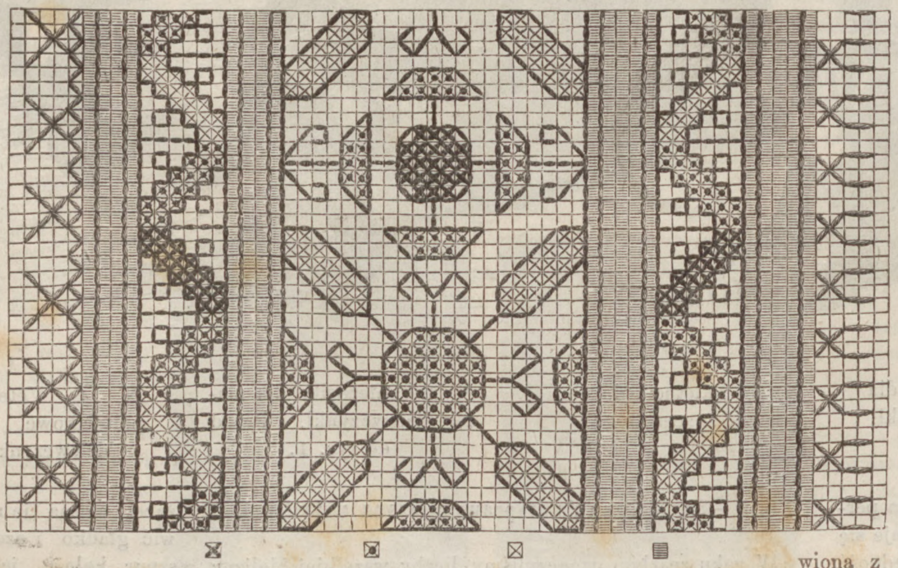
N. 19. Ręczniki.



N. 16. Szlaczek do bielizny wyszyty krzyżykami.



N. 17. Szlaczek do bielizny wyszyty krzyżykami.



N. 20. Szlak do serwet, ręczników i t. p. Odpowiedni do ryc. 19.

Opis do N. 17.

N. 1. Modne rękawiczki.

Przy rękawach sięgających zaledwie do łokci, do ubrania wizytowego i wieczorowego niezbędne są bardzo długie rękawiczki, prawie zupełnie zasłaniające rękę. Chcąc uniknąć zapinania kilkunastu guzików, wprowadzono w modę rękawiczki przecięte tylko krótko poniżej dłoni i zapięte dwoma guziczkami, niżej zaś wcale nie przecinane jak to widzimy na ryc. 1.

N. 2. Krawatka.

Wykończona w dwóch kolorach, składa się ze skosu jedwabnego szafirowego repsu 9 cent. szerokości i ze skosu ivoire 11 cent. szerokiego, długość wynosi 100 cent., skosy zszywają się w ten sposób iż po złożeniu krawatki jasny stanowi z brzegów ciemnego wązką wypustkę. Wiążąc krawatkę, pukiel i jeden koniec odwraca się kolorem ivoire do wierzchu; brzegi oszywa frendzla 5 cent. szeroka wysiepana z prostych kawałków.

N. 3. Sukienka dla dziewczynki.

Biała pika, batyst kolorowy lub materyał wełniany, mogą być zarówno użyte na tę sukienkę. Krój łatwo dopasować podług ryc. 2 w N-rze 1 tegorocznym; naszycie wstawek z przodu naśladuje skośne zapięcie. Rycina 3 przedstawia sukieneczkę z białej piki, naszytą dwa razy wszywką szydełkową z tasiemeczki w ząbki podwleczoną niebieską materyą; kwadratowy wykrój staniczka i krótkie rękawki są także wszywką zakończone. Szarfa z niebieskiej wstążki 12 cent. szerokiej. Zamiast wszywek ładne przyozdobienie stanowią plisy w kolorowy deseń.

N. 4. Ubranie dla chłopczyka.

Sukieneczka z kolorowego kaszmiru zapięta dwoma rzędami guzików, ozdobiona wzdłuż przodu naszytemi wszywkami haftowanemi na batyście. Dół sukienki oszyty 14 cent. szeroką falbaną z haftem angielskim; rękawki z falbanki 6 cent szerokiej. Kokarda przy kieszonce i szarfa z wstążki jedwabnej.

N. 5—6. Suknie princesse dla młodych panienek. Krój podług ryc. 25—26 w N. 14.

Rycina 5 i 6 przedstawia suknie odrobione podług jednej formy, lecz wykończone odmiennie; zapięcie princesse może zmieniać się odpowiednio do gustu; przy gładkiej sukni daje się z przodu lub z boku na jeden lub trzy rzędy, zaś przy princesse z draperyą czy szarfą *Almée* urządza się wzdłuż pleców. Suknia przedstawiona z tyłu na ryc. 5 jest z granatowego kaszmiru, zdobna u dołu plisowaniem i wodą z falbaneczkami z materyi tego co suknia koloru. Na suknię ryc. 6 użyty materyał wełniany zielony gładki zaś na draperyę, kołnierzyk wykładany i mankiety przy rękawach wzięty materyał adamaszkowy, przerabiany z kolorem lipowym. Frendzla szeroka, szmuklerska i plisy jedwabne...

N. 7 i 18. Suknia princesse zdobna kosztowną frendzlą. Różne kroje sukien princesse podawaliśmy w dawniejszych N-rach Tygodnika.

Odszyta jest z jasnej materyi i zdobna u dołu drobniutkiem, 16 cent. szerokiem plisowaniem, dwa razy przeszytem. Wspaniała draperya składa się z frendzli 50 cent. szerokiej i zfałdowania 15 cent szerokiego po złożeniu, spiętego z tyłu szarfą; wymaga ono skośnego kawałka materyału 30 cent szerokości; szarfa upięta z prostego kawałka złożonego podwójnie, 25 cent. szerokiego. Przy rękawach i podłużnym wykroju szyi riusza z siepanej materyi. Rycina 18 przedstawia z przodu tę samą suknię tylko z odmiennem przybraniem u dołu, z kwadratowym wykrojem i półdługiemi rękawkami. Falbana składana naprzemian w kontrafałdy 4 cent. szerokie i w plisowane fałdki ma szerokości 10 cent.; riusza z materyi siepanej 6 cent. szeroka, podgarnirowana crêpe lisse.



N. 24. Sznur do zawieszenia wachlarza.

N. 8. Suknia princesse do ubrania wieczorowego.

Odrobiona z gładkiej i deseniowej jedwabnej grenadyny; przybranie polne składa się z plisowania 17 cent. szerokiego i z dwóch przemarszczonych buf 15 cent. szerokich. Vêtement a raczej zwierzchnia suknia dochodząca do buf dolnych jest z grenadyny deseniowej; trzy plisowane falbaneczki po 7 cent. szerokie zdobią brzeg dolny; szarfa Almée upięta z atłasowego skosu. Wykrój górny i rękawki zakończa gruba podwójna wypustka; przybranie z plis atłasowych naszytych z przodu i z tyłu w ząb.

N. 9. Koszyczek do robót.

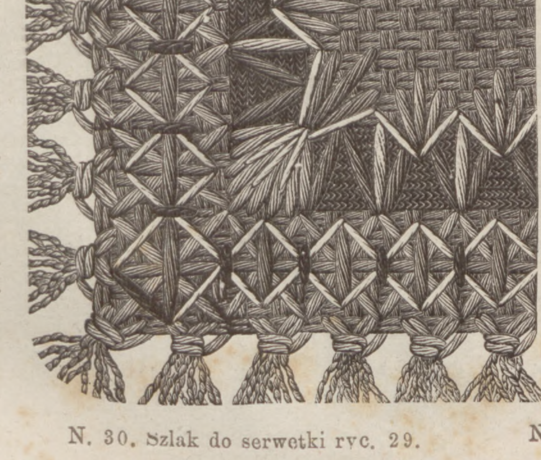
Z czarno lakierowanej lub złoconej trzciny wygięty fason koszyczka, przysłonięty jest prawie całkowicie kolorową materyą. Z przodu i z tyłu podłożone ścianki tekturowe powleczone są gładko materyą; boki złączone w dolnej połowie ściankami w formie skośnego kwadratu. Zwierzchnie przyozdobienie stanowią przemarszczone bufy z różowej materyi, z brzegów przyszyte riuszą, u dołu podcięte w zęby a środkiem przedzielone pasem aksamitnym, lub repsowym ozdobionym wyszyciem. Kokardy z różowej wstążki dopełniają przybrania.



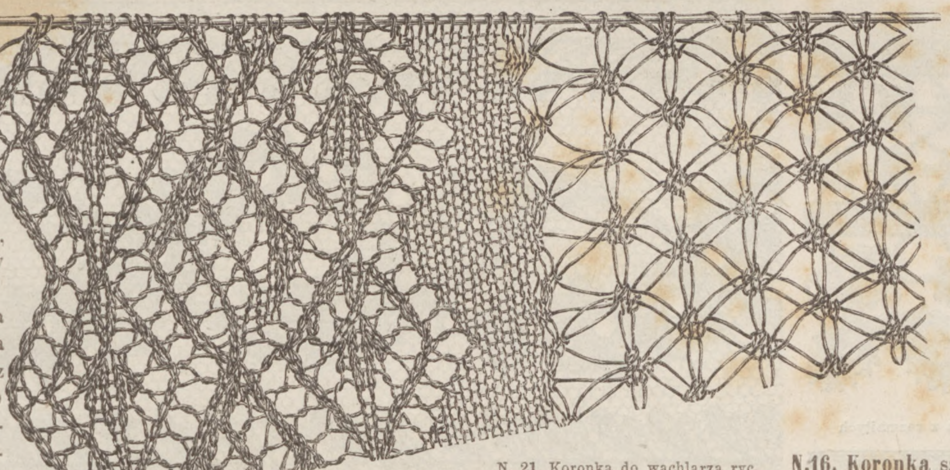
N. 26. Kaftaniczek flanenelowy dla dziecka.

N. 10—19. Krawatka z końcem z siatki gipiurowej *filet antique.*

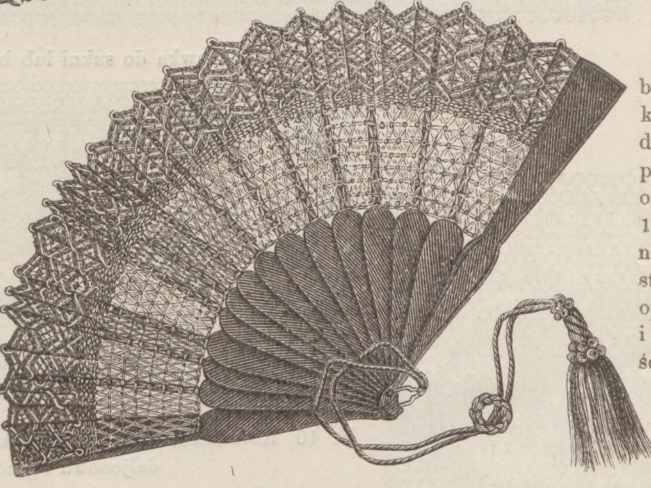
Na ryc. 10 podaliśmy w naturalnej wielkości wzór siatki gipiurowej stanowiącej jeden koniec krawatki jedwabnej ryc. 21, drugi koniec oszyty jest szeroką frendzlą. Podług wielkości kratek na wzorze dobrać trzeba wałeczek do siatki; rodzaj matowego wyszycia przypomina desenie z szesnastego i siedmnastego stulecia; brzegi dolne są dziergane w zęby i zakończone fabrycznemi pikotami.



N. 30. Szlak do serwetki ryc. 29.



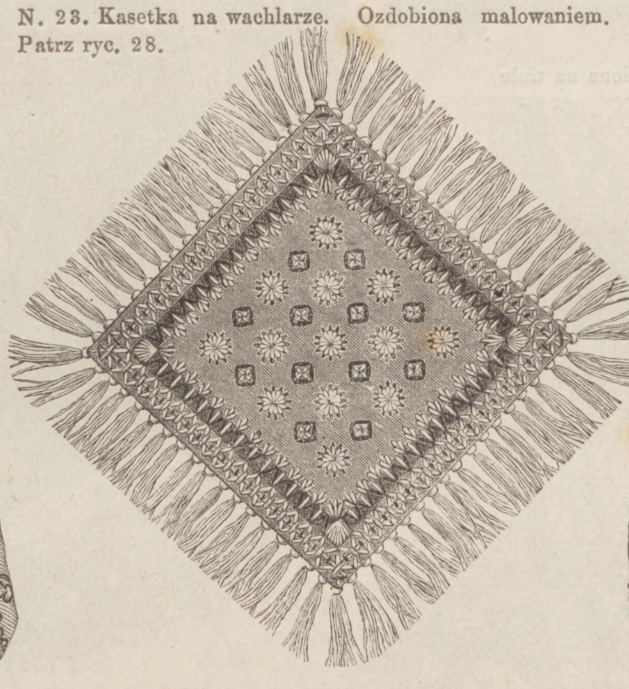
N. 21. Koronka do wachlarza ryc. 22 robiona na drutach



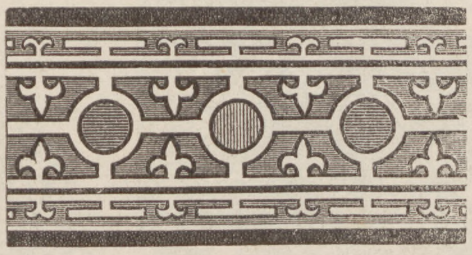
N. 22. Wachlarz z koronką robioną na drutach.



N. 23. Kasetka na wachlarze. Ozdobiona malowaniem. Patrz ryc. 28.



N. 29. Serwetka z kanwy Jawa. Patrz ryc. 30—32.



N. 28. Deseń do malowania na drzewie.



N. 31. Rzucik na tle do ryc. 29.



N. 33. Rzucik odpowiedni do ryc. 29.

N. 11—14. Monogram do znaczenia bielizny.

N. 15. Szlak do ryc. 26 w N-rze 16.

N. 16. Koronka szydełkowa z mignardisą.

Listeczki w ząbkach koronki odrabiają się jednocześnie z okręgiem słupków: potrzeba przywiązać nitkę do jednego pikota mignardissy i robić 1 o. pow., 1 o. śc. w pikot tasiemeczki, 1 o. pow., 1 o. śc. w drugi pikot dalej 13 o. pow. z których 4 ostatnie stanowią połowę pierwszego ząbka w listku a 4 pierwsze o. tworzą korzonek; opuściwszy 1 p. robić 1 o. śc. w następny i cztery razy naprzemian 7 o. pow., 1 o. śc. co trzeci pikot mignardissy. Potem zrobiwszy 3 o. pow. łączy się 1 o. łań. każde ze środkowych oczek czterech powyżej zrobionych ząbeczków listka i 4-te o. z 13 o. pow. z sobą i zakończa pierwszy listek 3 o. pow i 1 o. śc. w następne 4 o. z 13 o. pow. Część dalszych listeczków zapełniających ząbki odrobić tymże sposobem co pierwszy i podług ryciny. Skończywszy listki obrabia się okrąg sł. a na koniec dodaje gwiazdeczkę środkową, złożoną z ząbków liczących po 17 o. śc. przyczepianych co 10 o. do okręgu sł., po ostatniem o. śc. zrobić 9 o. pow. i zebrać ząbki do środka spajając jedną pentelką, przeprowadzoną przez środkowe o. każdego ząbka. Obrobienie górne i zewnętrzne ząbki z o. pow. dodać podług ryc. 16.



N. 25. Sznur do zawieszenia wachlarza.

N. 17. Suknia z vêtement.

Domowe ubranie jakie podajemy na ryc. 17, wykończone jest z wełnianego materyału gładkiego i w pasy. Vêtement formą princesse na które krój można znaleźć w dawniejszych N-rach Tygodnika zakończone plisą z gładkiemi wypustkami i takiemż plisowaniem, przybrane przy podpięciu i kieszonce kokardami z wstążki. Dół sukni z gładkiego materyału zdobi plisa w pasy 9 cent. szeroka i gładka plisowana falbana 12 cent. szeroka.

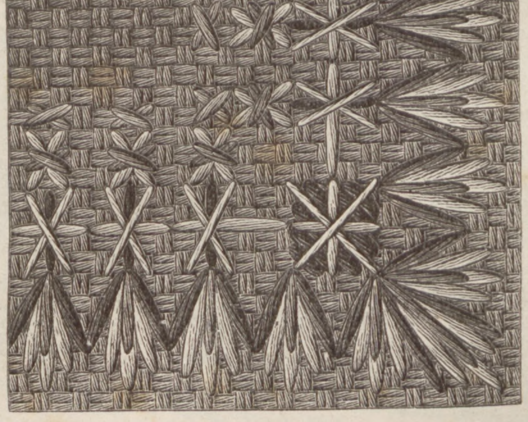


N. 27. Kaftaniczek dla dziecka.

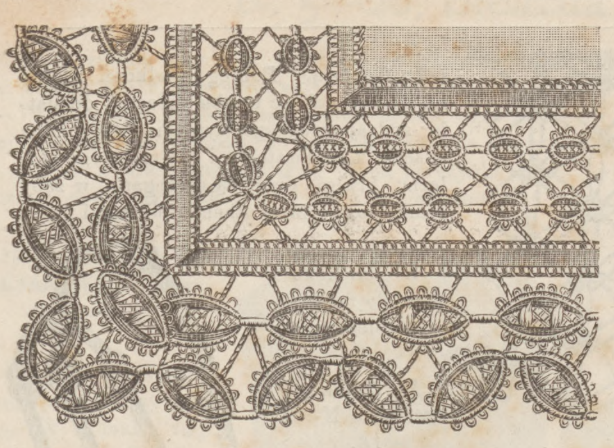
N. 20—22. Krawatka z filozelowej włóczki.

Podług dokładnych próbek ryc. 21—22 załączających tło i ząbki brzeżne łatwo bez żadnego opisu odrobić włóczkową krawatkę z luźnych o. pow.; ten rodzaj roboty łatwej a pośpiesznej używany jest od lat paru nawet na duże chustki z cienkiej włóczki. Zaczyna się krawatkę w szerz na 90 o.

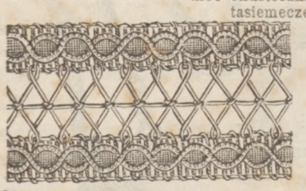
(dok. nast.)



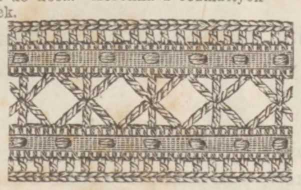
N. 32. Szlak do serwetek z kanwy Jawa.



N. 33. Szlak do krawatki albo chusteczki do nosa. Koronka z rozmaitych tasiemeczek.



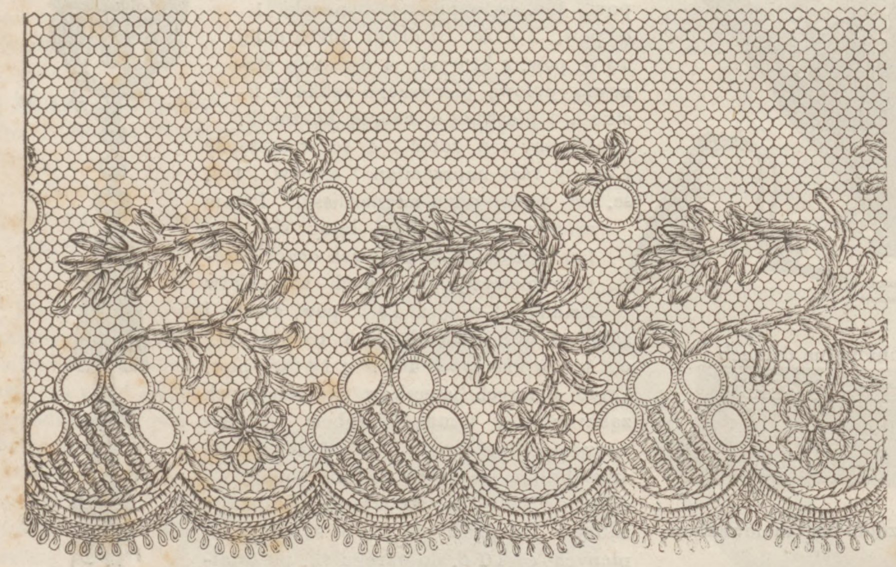
N. 35. Wstawka do chusteczki od nosa, z tasiemeczki koronkowej i kratki.



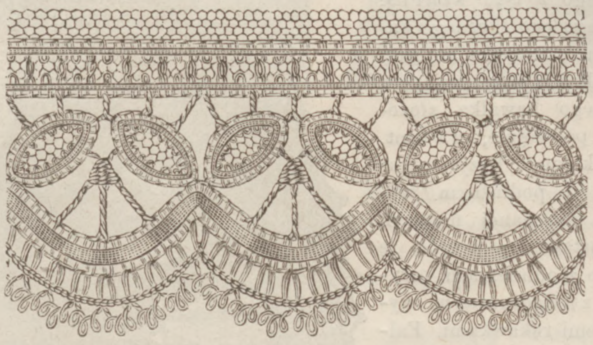
N. 46. Wstawka. Robota szydełkowa i tasiemeczka.



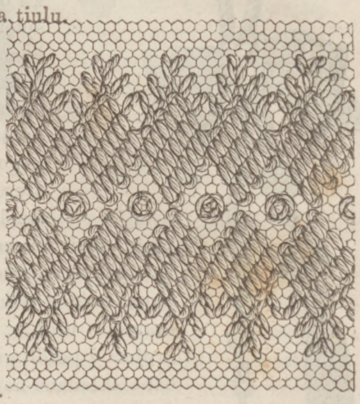
N. 37. Wstawka do sukni lub bielizny. Cerowanie na tiulu.



N. 39. Koronka do sukien, chusteczek lub woalików, robiona na tiulu.



N. 40. Koronka irlandzka. Tiul, kratki, tasiemeczka medaljonowa i gładka.



N. 39. Wstawka do bielizny. Cerowanie na tiulu.



N. 41. Koniec do krawatki. Robota koronkowa na tiulu, tasiemeczka medaljonowa i gładka.



N. 42. Szlak do chustki od nosa. Robota koronkowa na tiulu.



N. 43. Denko do czepeczka. Wywodzenie i cerowanie na tiulu.